Wpisano do konwersji
Z Rejonowej Biblioteki Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 15.III 19 68

Dziś w numerze: Lotaryński prawnuk Bolesława Krzywoustego • Marian Piechal o twórczości i problemach środowiska młodych • Krople stearyny • Opowieść o kopciuszku naszych czasów • Wiersze • Felietony • Recenzje

odgłosy

11 (541)
17. III. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

Władysław Pawelec. — Z cyklu manekiny.

52 tysiące za KÓŁKIEM

Redakcja Odgłosów zorganizowała dyskusję na tematy komunikacji oraz bezpieczeństwa ruchu ulicznego w Łodzi. W dyskusji wzięli udział: ppłk. mgr Mieczysław Kowalczyk, naczelnik Wydziału Kontroli Ruchu Drogowego KMMO w Łodzi; Aleksander Krasnopolski, sekretarz generalny Polskiego Związku Motorowego; Stanisław Koprek, wiceprzewodniczący Sekcji Taksówek w Zrzeszeniu Prywatnego Handlu i Usług; inż. Edward Majewski, zastępca dyrektora MPK d/s eksploatacji; mgr Czesław Pora, zastępca kierownika Wydziału Komunikacji Prez. RN m. Łodzi; por. Jan Światły, st. inspektor Sekcji Propagandy Wydz. Kontroli Ruchu Drogowego KMMO w Łodzi; redakcję Odgłosów reprezentował Jerzy Urbankiewicz.

ODGŁOSY: Trudno jednym zdaniem zagajenia wejść w samo sedno spraw tak skomplikowanych, jak organizacja i bezpieczeństwo komunikacji w Łodzi, mieście komunikacyjnie bardzo trudnym. Zacznę od epizodu, który miastu temu mógłby dać zupełnie inne świadectwo. Przed kilku dniami stał obok Domu Technika społeczny inspektor ruchu i nie puszczał samochodów przed Dom, choć miejsce to nie nastręcza najmniejszego niebezpieczeństwa dla kogokolwiek. Czy istotnie w hierarchii potrzeb komunikacyjnych Łodzi najważniejsze jest to, aby przed Domem Technika nie było tłoku? W tym samym czasie w dziesiątkach punktów newralgicznych nikt nie pilnował bezpieczeństwa ruchu. Niewłaściwe uszeregowanie potrzeb zdaje się też wynikać z dowolności, z jaką nakłada się mandaty karne. Znam wypadek, kiedy za przeoczenie znaku zakazu i zaparkowanie pojazdu kierowca zapłacił 75 zł. Natomiast za spowodowanie poważnego wypadku, z którego wynikły straty w wysokości 6—7 tys. zł, kierowca został obarczony przez milicjanta mandatem w wysokości 100 zł. Mandat ten uniemożliwił jakiekolwiek dalsze konsekwencje karne.

PPUŁK. MGR MIECZYSŁAW KOWALCZYK: Jakie są i jakie powinny być kryteria organizacji służby, rozstawienia służby w poszczególnych punktach miasta? Rozstawienie poszczególnych punktów organizujemy tam gdzie coś się dzieje, uzależniamy to od warunków stanu bezpieczeństwa, a więc w punktach miasta szczególnie niebezpiecznych dla ruchu. Inspektor społeczny ma prawo z własnej inicjatywy wyjść i coś robić. Niewłaściwe parkowanie nie jest jedną z głównych przyczyn wypadków, chociaż z punktu widzenia porządkowego i w pewnym stopniu bezpieczeństwa ma to znaczenie. 25 proc. przyczyn wypadków z winy kierowców to sprawa pierwszeństwa przejazdu. Tu trzeba powiedzieć, **że wypadki te nie wynikają z piractwa drogowego, ale z niedostatecznej znajomości przepisów.**

Nikt by nie chciał świadomie powodować wypadki drogowe, narażać siebie na pewne straty itd. Następnie problem szybkości jazdy. Są w Łodzi niektóre ulice, na których musimy ograniczyć do minimum szybkość pojazdów. Np. na ul. Zgierskiej musieliśmy ograniczyć szybkość do 40 km na godz. Problem alkoholizmu należałoby omówić oddzielnie. Grupa pieszych stanowi potencjalne niebezpieczeństwo dla ruchu kołowego.

MGR CZESŁAW PORA: Mnie się osobiście wydaje, że kontrola przed Domem Technika była jakimś precedensem lub prowokacją do wywołania dyskusji na tematy komunikacyjne w mieście. Wydaje mi się, że chodzi tu o to, aby omówić zagadnienie kontroli służby operacyjnej na drogach łącznie z inspektorami gospodarki samochodowej, jak i inspektorami społecznymi ORMO. Podzielam w zupełności pogląd płk Kowalczyka. Służba ta nie może pracować w warunkach statycznych, ona musi pracować w operatywnych działaniach i przemieszczać się tam gdzie jest największe zagrożenie ruchu w danym czasie. Dlatego chciałbym poruszyć główne problemy największego zagrożenia, które u nas występują głównie na ciągach komunikacyjnych i na trasach przelotowych przez nasze miasto: ulica Pabianicka, Limanowskiego, Uniwersytecka, Strykowska i Zgierska. Znaczne jest zagrożenie społeczeństwa w mieście przed skupiskami użyteczności publicznej, przed kinami, teatrami, szkołami i tam powinni inspektorzy działać. Wraz z nasileniem turystyki, co następuje zawsze wiosną, i trwa przez całe lato, ustawiamy posterunki na trasach wylotowych, żeby kontrolować wyjeżdżających i przyjeżdżających. Nam nie zależy na karaniu, ale na wychowywaniu. I w tym kierunku idzie nasza praca. Niestety, trzeba też nieraz uciekać się do środka represyjnego. Ulica Zgierska jest

Dalszy ciąg na str. 3

TADEUSZ GICGIER

Białystok — brat Łodzi

To tytuł nie dla efektu. Wystarczy w którymś z białostockich kiosków „Ruchu" kupić pocztówkę z tzw. widokiem ogólnym miasta, by od razu spostrzec zbieżności. Gęstwa domów i sterczące nad nią może tylko mniej liczne niż w Łodzi — kominy. Ale za to samo miasto wygląda bardziej nowocześnie, chyba dlatego, że nowe budownictwo zaważyło na jego obliczu mocniej, niż na obliczu naszego miasta.

Są to podobieństwa zewnętrzne. Warto jednak przypomnieć, że kiedy pod koniec ubiegłego wieku powstawał przemysł białostocki, Łódź, starsza „przemysłowa" siostra Białegostoku, wsparła go pierwszymi fachowcami, ściągnęły tu rodziny łódzkich majstrów i tkaczy, których potomkowie pracują do dziś w tutejszych zakładach przemysłowych. I w Łodzi i w Białymstoku wykształcał się proletariat, który w przełomowych okresach historii dopominał się o swoje prawa.

Zbieżności mają zresztą nie tylko charakter historyczny. Jedno i drugie miasto musiało zatroszczyć się po ostatniej wojnie o podniesienie swej rangi w kraju, przy czym Białystok miał tu zadanie trudniejsze, bo w okresie międzywojennym dominowało w tym regionie zdecydowanie Grodno. Podobnie jak do Łodzi, napłynęła po roku 1945 do Białegostoku fala ludności wiejskiej, a choć przyrost mieszkańców był tu na przestrzeni ostatnich lat dwudziestu mniej liczebny, to jednak

Dalszy ciąg na str. 4

ŹLE ŚWIATA

Temat: Zadania, związane z walką przeciwko imperializmowi na obecnym etapie oraz jedność działania partii komunistycznych i robotniczych, jak również wszystkich sił antyimperialistycznych.

Termin: Listopad lub grudzień 1968 roku.

Miejsce: Moskwa.

Przygotowanie: Utworzenie komisji, składającej się z przedstawicieli wszystkich partii komunistycznych i robotniczych, pragnących wziąć udział w naradzie. Siedzibą komisji jest Budapeszt, a pierwsze posiedzenie odbędzie się 24 kwietnia.

Takie są decyzje 66 partii, które uczestniczyły w budapeszteńskim spotkaniu konsultatywnym. Decyzje — dodajmy od razu — podjęte w wyniku swobodnej, partyjnej wymiany poglądów. W ten sposób rozpoczął się okres bezpośrednich przygotowań do światowej narady partii komunistycznych i robotniczych, narady dyskutowanej od dawna w międzynarodowym ruchu. Tuż przed spotkaniem, a i wtedy, kiedy z Budapesztu wycofała się delegacja Rumuńskiej Partii Komunistycznej, prasa burżuazyjna wciąż łudziła się nadzieją, że zarysuje się impas i nie uda się doprowadzić do jednolitego stanowiska. Przepowiednie te pozostały w sferze pobożnych życzeń tych, którzy obawiają się jedności komunistów. Na budapeszteńskim forum powzięto postanowienie, które będzie miało poważny wpływ na umocnienie frontu antyimperialistycznego. I na tym właśnie polega jego doniosłość.

W dwóch poprzednich komentarzach szczegółowiej omawialiśmy sytuację w międzynarodowym ruchu komunistycznym i znaczenie światowej narady. Referowaliśmy także stanowisko PZPR w tej sprawie. Dziś, kiedy znamy już postanowienia zapadłe w Budapeszcie, z zadowoleniem odnotujmy wkład naszej partii, będącej jednym z inicjatorów tej wielkiej rozmowy przygotowawczej, w kształt zapowiedzianej narady. Warto podkreślić, że Zenon Kliszko przewodniczył z upoważnienia wszystkich partii komisji redakcyjnej, która przedłożyła projekt końcowego komunikatu. Jego tekst przyjęty został jednomyślnie.

Komentatorzy nie zdążyli jeszcze ocenić rezultatów spotkania, a już uwagę światowej opinii przykuło inne ważne wydarzenie. Następnego dnia po zakończeniu dyskusji w Budapeszcie — w Sofii zebrał się Doradczy Komitet Polityczny Państw — Stron Układu Warszawskiego, będący najwyższym organem kierowniczym paktu. W jego obradach wzięły udział delegacje na najwyższym szczeblu 7 krajów. Tematem obrad — jak dowiadujemy się z opublikowanego komunikatu — była sytuacja, jaka powstała w wyniku wzmagania amerykańskiej agresji w Wietnamie oraz problem nierozpowszechniania broni nuklearnej.

Oba te zasadnicze zagadnienia omówione zostały w dokumentach narady: „DEKLARACJI O ZAGROŻENIU POKOJU W WYNIKU ROZSZERZANIA AGRESJI AMERYKAŃSKIEJ W WIETNAMIE" oraz „OŚWIADCZENIU W SPRAWIE NIEROZPRZESTRZENIANIA BRONI JĄDROWEJ".

Stwierdzając, że w następstwie rozwijania interwencji w Wietnamie „powszechny pokój poddawany jest obecnie poważnej próbie" i że odpowiedzialność za nierozpoczęcie dotychczas rokowań ponoszą w pełni Stany Zjednoczone — sygnatariusze Układu Warszawskiego zwrócili się z apelem do wszystkich państw i rządów o domaganie się od USA niezwłocznego zaprzestania agresji w Wietnamie oraz wstąpienia na drogę pokojowego rozwiązania problemu. Jednocześnie uczestnicy narady potwierdzili niezbędną pomoc dla Demokratycznej Republiki Wietnamu i narodu wietnamskiego, łącznie z wysłaniem ochotników ze swych krajów, jeśli z taką prośbą wystąpi rząd DRW.

Pod tą deklaracją złożyli swe podpisy I sekretarze KC partii oraz przewodniczący Rady Ministrów 7 krajów.

W oświadczeniu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej Bułgaria, Czechosłowacja, Niemiecka Republika Demokratyczna, Polska, Węgry i ZSRR dają wyraz swemu jednomyślnemu przekonaniu, że rozwiązanie tego problemu i zawarcie odpowiedniego układu międzynarodowego stworzy sprzyjające warunki do walki o zaprzestanie wyścigu zbrojeń. Dlatego też sześć wymienionych państw zadeklarowało swe poparcie dla projektu układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej, który 18 stycznia br. wniesiony został do rozpatrzenia przez Komitet Rozbrojeniowy i opowiedziało się za zakończeniem rokowań na ten temat w „komitecie 18", przyjęciem projektu przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych oraz za podpisaniem go i wprowadzeniem w życie.

Zwraca uwagę fakt, że choć wszyscy uczestnicy sofijskiej narady — jak wynika to ze słów komunikatu — potwierdzili „szczególne znaczenie zapobieżenia rozprzestrzenianiu broni jądrowej i doniosłość rozwiązania tego problemu", do omówionego powyżej oświadczenia nie przyłączyła się Rumunia.

Rozpatrzenie i zaaprobowanie projektu układu o nieproliferacji przez sześć państw — członków Układu Warszawskiego ma bardzo istotne znaczenie i jest zapowiedzią, że długie międzynarodowe rokowania na ten temat, niejednokrotnie utrudniane i opóźniane przez Stany Zjednoczone, wchodzą w końcową fazę. Komitet Rozbrojeniowy osiemnastu państw najprawdopodobniej zakończy w ustalonym terminie do 15 marca swe prace i przekaże projekt układu Organizacji Narodów Zjednoczonych. W ten sposób znajdzie się z pewnością na porządku obrad Zgromadzenia Ogólnego, które mają być wznowione w kwietniu. Uczyniony w ostatnim okresie postęp w sprawie wspólnych gwarancji ZSRR, USA i W. Brytanii przeciwko atakowi jądrowemu dla krajów nie dysponujących tą bronią — otwiera projektowi na forum ONZ pomyślne perspektywy.

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

■ Generał Westmoreland zwrócił się do Białego Domu z żądaniem przesłania mu dodatkowych 50—100 tysięcy żołnierzy do Wietnamu, co — jego zdaniem — pozwoliłoby mu na skuteczne przeciwstawienie się oddziałom partyzanckim w miastach i na wsi Południowego Wietnamu.

■ „Litieraturnaja Gazieta" publikuje artykuły dyskusyjne na temat dalszych kierunków rozwoju szkolnictwa radzieckiego. Zabierając głos znany pisarz radziecki Włodzimierz Tendriakow pisze o nauczaniu historii literatury w szkołach radzieckich: „Jak uczyć i czego uczyć?". Chodzi nie tylko o to, że programy zawierają wiele zmurszałego już balastu. Chodzi o to, że samo podejście do nauczania zabija w uczniach iskrę człowieczeństwa. Naucz się na pamięć „ideowej treści" utworu literackiego! Naucz się na pamięć formułki! Nie waż się żywić jakichkolwiek uczuć! Nie waż się samodzielnie myśleć!

Mam często do czynienia z programem literatury i dochodzę nieraz do wniosku, że lepiej w ogóle nie wykładać literatury, niż wykładać ją tak, jak to się robi obecnie. Po prostu wypaczamy wrodzony smak dzieci. Wciąż jeszcze tresujemy dzieci i każemy im mówić, czy Eugeniusz Oniegin — to postać pozytywna, czy negatywna, postępowa, czy niepostępowa. Usiłujemy wbić dzieciom do głowy określoną formułę, która głosi, że Oniegin jest ponoć typowym przedstawicielem „najlepszych ludzi w Rosji".

Niestety, takie podejście nie wpaja dzieciom miłości do dzieł Puszkina. Ale właśnie tak nasz uczeń z całą powagą i zaciekłością trwoniąc drogocenny czas uczy się literatury, i chyba nie tylko literatury. Trzeba bić na alarm. Trzeba zmienić nie tylko programy szkolne, lecz również cały system nauczania".

■ Narodowo-Demokratyczna Partia Niemiec — NPD będzie — zdaniem przewodniczącego tej neonazistowskiej organizacji w Badenii-Wittembergii Wilhelma Gutmanna — w przyszłości wywierać nacisk w kierunku likwidacji działającego w Ludwigsburgu ośrodka wykrywania zbrodni hitlerowskich. Ów przewodniczący NPD oświadczył, iż ośrodek ten działa „wbrew prawu i rozsądkowi".

■ Według dziennika „Rude Pravo" w roku 1968 mają zostać zwiększone w Czechosłowacji zasiłki na dzieci. Płatny urlop macierzyński zostanie przedłużony z 22 do 26 tygodni, zwiększone zostaną zasiłki macierzyńskie. Przewiduje się podniesienie rent oraz dalsze skrócenie tygodnia roboczego.

■ W Sofii obradował Polityczny Komitet Doradczy Państw Uczestników Układu Warszawskiego z udziałem przywódców partii krajów członkowskich układu i ministrów obrony narodowej.

■ Ogłoszone w NRF memorandum grupy świeckich katolików, występujących pod nazwą „Bensberger Kreis" stwierdza m. in.: „Musimy przywyknąć do myśli, że nie możemy już więcej żądać powrotu ziem za Odrą i Nysą do terytorium niemieckiego państwa związkowego".

■ Chińczycy wystosowali 451 poważne ostrzeżenie pod adresem USA.

■ W ramach przesłuchiwań przeprowadzonych przez senacką komisję spraw zagranicznych wystąpił jeden z pracowników naukowych Ośrodka Studiów Międzynarodowych na uniwersytecie w Princeton. Stwierdził on, że w celu osiągnięcia zwycięstwa w Wietnamie Stany Zjednoczone musiałyby wysłać tam 3 miliony żołnierzy.

■ Czołowy publicysta egipski — Heykal, oskarżył politykę USA, że zmierza ona do chwilowego odłożenia na półkę problemu Bliskiego Wschodu przy pomocy ostatniej rezolucji Rady Bezpieczeństwa. Zdaniem Stanów Zjednoczonych — pisze Heykal — przyjęcie rezolucji na temat tego kryzysu miało spowodować, by stał się on mniej naglący, zmniejszyć jego nacisk na sytuację międzynarodową i odłożyć cały problem do bardziej sprzyjającego — z punktu widzenia USA — czasu, kiedy można by go znów podnieść.

■ W artykule pt. „Pragmatyczna polityka" czechosłowacki dziennik „Mlada Fronta" komentuje przemiany zachodzące w Rumunii. „Ostatnie zmiany w polityce wewnętrznej Rumunii — pisze dziennik — jeśli widzieć je tylko naszymi oczami, same w sobie nie wydają się zbyt fortunne. Jednakże nieco inaczej sprawa przedstawia się, jeśli rozpatrywać te zmiany w połączeniu z szerokim kompleksem polityki handlowej, zagranicznej i gospodarczej Rumunii".

■ Premier Kanady — Pearson stwierdził, że rząd Kanady zerwie stosunki dyplomatyczne z Francją, jeżeli na mającą się odbyć w Paryżu w najbliższym czasie międzynarodową konferencję oświaty zaproszeni zostaną przedstawiciele prowincji Quebeck.

■ Szanghajski dziennik „Wenhaipao" w artykule pt. „Dość niepotrzebnych konferencji" publikuje list jednego ze swoich czytelników, w którym podaje: „Nasza komuna ludowa otrzymała od instancji nadrzędnych polecenie przeprowadzenia pięciu konferencji. Trwały one razem 12 dni: 5 dni poświęcono na konferencję w sprawie ochrony roślin, 2 dni na konferencję naukową, 2 dni poświęcono na konferencję w sprawie gotowości do siewów, a pozostały czas na konferencję w sprawie sprzedaży drobiu. Kadra kierownicza — pisze autor listu — traci swój czas na niekończącej się wymianie poglądów, która często jest jałowa i w rezultacie której powstają opłakane skutki".

■ Wielu obywateli amerykańskich wyraźnie ignoruje apel prezydenta Johnsona, aby ograniczali podróże za granicę. Z ostatnich danych wynika, że wielu amerykańskich turystów postanowiło przyśpieszyć terminy planowanej podróży do Europy, zanim rząd nie wprowadzi dodatkowego podatku obciążającego turystów. Statystyki biur paszportowych wskazują, że w chwili obecnej liczba obywateli amerykańskich, którzy zwrócili się o paszporty, jest wyższa o 26 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym.

■ W piśmie „Litieraturnaja Gazieta" ukazał się artykuł wyrażający zaniepokojenie z powodu malejącego przyrostu naturalnego w Związku Radzieckim. Pismo podaje, że w latach 1960-65 na 1000 mieszkańców kuli ziemskiej przypadało przeciętnie 34 noworodków. W krajach rozwiniętych stopa urodzeń wynosiła 21, a w krajach rozwijających się — 40. W ZSRR natomiast w roku 1965 na 1000 mieszkańców przypadało 18,4 noworodka. W największej republice — Rosyjskiej stopa urodzeń wynosiła 15,8, na Ukrainie — 15,3, w Estonii — 14,8, na Łotwie — 13,9, w Moskwie — 11,0. Autorka artykułu przyczyn zjawiska dopatruje się przede wszystkim w stopniu zatrudnienia kobiet.

■ Nowy ambasador Izraela w USA, były szef sztabu armii izraelskiej — gen. Rabin wystąpił w klubie prasy międzynarodowej w Nowym Jorku z ostrym atakiem na politykę radziecką.

■ Dziennik „Prawda" w artykule pt. „Krokodyle łzy" zwraca uwagę na nasilającą się w ostatnim okresie propagandę antyradziecką. „Życie zmusiło naszych wrogów — pisze dziennik — do wyrzucenia na śmietnik wielu ogranych już płyt antyradzieckich. Wyrzucili wiele z nich, lecz nie wszystkie. Z dawnym uprzykrzonym zgrzytem kręci się ograna płyta na temat „braku wolności jednostki" w społeczeństwie radzieckim. Minęły czasy, gdy wróg mógł pozwolić sobie na urządzanie prowokacji na granicach radzieckich, wysyłać samoloty do naszego obszaru powietrznego. Na siłę potrafimy odpowiedzieć siłą, toteż dziś mało jest szaleńców, którzy ośmieliliby się wystawić na próbę naszą stanowczość. Tym bardziej zaciekłe są wrogie ataki ideologiczne na Związek Radziecki".

■ Prezydium Komitetu Miejskiego KPCz w Pradze uważa, że obecna sytuacja wymaga szybkiego zwołania plenum Komitetu Centralnego KPCz. Charakteryzując dyskusję polityczną, jaka toczy się w Czechosłowacji, oświadczenie głosi, że ma ona jednostronny charakter. W dyskusji pojawiają się ekstremistyczne poglądy, prowadzące do dezorientacji, skrajności, napięcia i zwichnięcia równowagi.

— *Europa mija jednak obok.*

LISTY DO REDAKCJI

SZANOWNA REDAKCJO!

Już najwyższy czas, aby należycie uczcić zasługi Rembielińskiego. Organizacją Komitetu Budowy Pomnika winien zająć się Komitet Miejski Frontu Jedności Narodu.

PRACOWNICY SZPITALA IM. BIEGAŃSKIEGO, ŁÓDŹ, UL. KNIAZIEWICZA 1/5: KRYSTYNA BOJANOWSKA, ŁÓDŹ, UL. BAZAROWA 12-16, WOJCIECH NOWAK, ŁÓDŹ, UL. KALINOWA 15a, WIESŁAWA TOMCZYK, ŁÓDŹ, UL. WŁÓKIENNICZA 18, EDMUND LATOSZYŃSKI, ŁÓDŹ, UL. BERLIŃSKIEGO 8/12

i szereg nazwisk nieczytelnych.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem reportaż p. Macieja Wysockiego ze studniówki w XXX LO im. Krasickiego w Łodzi, zamieszczony w ostatnim numerze „Odgłosów" (nr 8-538 z 25.02.68 r.). Ponieważ praktyki uniwersyteckie odbywaliśmy (było nas trzech) w tej szkole, a zarazem studniówka zazębiała się z terminem trwających praktyk, przyjąłem zaproszenie dyrekcji szkoły, aby jeszcze raz przeżyć tę uroczystość młodzieżową (gdyż sam czuję się, aż nazbyt młodzieżowo) i móc porównać ją ze studniówką we własnej szkole (ach, gdzież te czasy?). Przemiły obserwator, delegowany z ramienia „Odgłosów" (bądź z własnej woli), dostrzegł na sali studentów! (chwała mu za to i wielkie dzięki w imieniu wszystkich studentów będących na sali). Nie uchronił się jednak przed pewnym błędem w kojarzeniu faktów (przepraszam za sformułowanie). A jako przedstawiciel studentów (historii UŁ), noszący w sercu wdzięczność za przemiłą atmosferę (w czasie praktyk), jaka nas otoczyło grono pedagogiczne na czele z p. Dyrektor, mgr Halina Matulową, nie mogę przejść nad tym faktem do porządku dziennego. Pragnę sprostować, że nasza opiekunka w czasie tzw. stażu była p. mgr Janina Michowicz, również historyczka. To nie znaczy, że wykluczam udział p. mgr Krystyny Kamiańskiej w kształtowaniu naszej osobowości pedagogicznej. O, nie! Jak już powyżej napisałem, wdzięczność nasza dotyczy wszystkich nauczycielek (i nauczycieli) z tej szkoły. Podkreślam, wszystkich! A pragnąc być dokładnym w kojarzeniu faktów historycznych (a praktyki i studniówka, to fakty) ośmieliłem się napisać te kilka zdań do Szanownej Redakcji, celem sprostowania.

ANDRZEJ SOKOŁOWSKI
V rok historii UŁ

P.S. Jeżeli p. Redaktor uzna za stosowne umieszczenie tego sprostowania na szpaltach Waszego pisma, to cała nasza trójka uzna ten fakt, nie jako gest kurtuazji, lecz jako chęć wyjścia naprzeciw ludzkiej wdzięczności.

Łódź, dnia 23.02.1968 r.

52 tysiące za kółkiem

Dalszy ciąg ze str. 1

ulicą o największym zagrożeniu bezpieczeństwa ruchu — ustawiliśmy tam znaki ograniczenia postojów, zmniejszyliśmy szybkość. To jest ulica trudna, wąska, która w zasadzie nie nadaje się do nowoczesnego ruchu. A po drugie — jest pocięta na stosunkowo krótkich odległościach ulicami poprzecznymi, a ponadto najeżona przystankami komunikacji tramwajowej. Stąd korelacja ruchu pieszego i samochodowego jest stosunkowo duża, a przy tej korelacji nie trudno o wypadek. Zagadnienie ograniczeń ruchu. Warto tu postawić taką tezę, że każde ograniczenie w ruchu w mieście nie jest wygodne dla kierowców. Ale gdy interes komunikacji tego wymaga, na ulicach wąskich o dużym nasileniu ruchu, musimy ograniczać postoje, musimy też eliminować lewoskręty na niektórych ulicach, bo manewr lewoskrętu wymaga dużo czasu i blokuje skrzyżowanie.

ALEKSANDER KRASNOPOLSKI: Lokalny świat komunikacyjny dzieli się na dwie kategorie: na kontrolujących i na kontrolowanych. Brak nam organizatora ruchu drogowego. Przykład parkowania jest o tyle ciekawym przykładem, że samo parkowanie nie stanowi ważkiego elementu w sprawach bezpieczeństwa, natomiast stanowi utrudnienie w komunikacji. Na całym świecie wszystkie place są miejscem parkowania pojazdów. Przykład NOTowski jest przykładem charakterystycznym. Łódź w ogóle jest komunikacyjnie trudna. **Przed Magdą i Adasiem mnóstwo przestrzeni niepotrzebnie oddano pieszym, a parkingów nia ma. Brak też miejsca dla samochodów przed Uniwersalem.**

Inny problem, to drogi osiedlowe. Są tak wąskie, że uniemożliwiają ruch samochodowy. W Teofilowie „A" w 1980 r. będzie mieszkało ok. 70 tys. mieszkańców. Już dziś wszystkie bloki obstawione są samochodami, a w ulicach osiedlowych nie można się wyminąć. **Urbaniści projektujący drogi osiedlowe powinni działać w porozumieniu z organizatorem ruchu drogowego — Wydziałem Komunikacji. Nie można tylko planować gwoli estetyki.** Wszystkie ulice osiedli, mimo że mamy znaczny wzrost motoryzacji są rozpatrywane pod kątem ulicy osiedlowej.

Następna sprawa — to sprawa kierowców. Mamy nadzieję, że przełamiemy dziedziczne opory, przyzwyczaimy się do nowych form, natomiast samo życie poza karami, poza inspekcją wyeliminuje nieudolnych kierowców. Nie będą oni w stanie prowadzić pojazdów. Np. uważani za dobrych kierowców w kraju nasi kierowcy wyjeżdżający do krajów dobrze zmotoryzowanych rezygnują z jazdy samochodami. Taka sytuacja powstanie i u nas. Wchodzi tu w rachubę i sprawa dróg, sprawa nawierzchni. Stwierdzono, że supernowoczesne nawierzchnie z wyjątkiem nawierzchni o podkładzie gumowym są b. śliskie. Budujący drogę powinien konsultować się z fachowcami w tej dziedzinie, jakimi dysponują Wydziały Komunikacji Rad Narodowych.

INŻ. E. MAJEWSKI: Kilka słów z punktu widzenia komunikacji masowej. Doniosły jest problem prędkości. Powinniśmy jeździć szybko, by zwiększyć drożność naszych ulic. A względy bezpieczeństwa każą tę szybkość zmniejszać. Największy ruch samochodowy jest na ul. Piotrkowskiej, której drożność bardzo się zmniejszyła wobec parkowania pojazdów po obu jej bokach. Problem parkowania na ulicach o dużym ruchu kołowym trzeba rozwiązać radykalnie.

Sprawy te rzutują na wypadki tramwajowe. Powstają one najczęściej na skutek wskakiwania i wyskakiwania oraz jazdy pasażerów na stopniach. **Nie przybywa nam wagonów tramwajowych, natomiast zwiększa się ciągle liczba pasażerów oraz długość tras. Utrzymanie punktualności i regularności tramwajowych jest w tej chwili niemożliwe, bo przejeżdżając obok parkujących samochodów tramwaj musi zmniejszyć szybkość, żeby pasażerowie stojący na stopniach nie ulegli wypadkowi.** Odciążenie komunikacji tramwajowej autobusami nie jest dostateczne. Muszą być zbudowane nowe arterie komunikacyjne i odpowiednie zwiększenie ilości środków przewozowych.

STANISŁAW KOPREK: O szybkim rozwoju motoryzacji może świadczyć fakt, że w roku 1947 mój numer kolejny taksówki był 73. Postój mieliśmy tylko jeden, na ulicy Moniuszki. Dziś jest ponad 1400 pojazdów. Z punktu widzenia kierowcy taksówki ulice łódzkie są ciasne. Zwłaszcza dojazdy osiedlowe. Aby się tam wyminąć musimy nieraz wjeżdżać na piękne trawniki. To trzeba jakoś rozwiązać. Mamy też kłopoty z ogumieniem. Ażeby otrzymać nową gumę, musimy zdać starą. Np. ostatnio opony z importu były ładne, ale bardzo szybko pękały i Motozbyt nie chciał ich przyjmować. Winogrona tramwajowe bardzo utrudniają nam ruch. Np. ul. Główna jest b. wąska, ale łatwiejszy byłby ruch gdyby nie było wiszących na stopniach tramwajów pasażerów.

PPŁK. M. KOWALCZYK: Należałoby powiedzieć parę słów na temat drugiej grupy użytkowników dróg, która rzutuje na sytuację ruchu drogowego, na pieszych. Stwierdzono, że w Łodzi, i nie tylko w Łodzi, niedostateczna jest dyscyplina pieszych. Nazwałbym to może nieprzystosowaniem społeczeństwa do nowego ruchu drogowego. Jak się więc to dzieje, że wykroczenie i kolizje w wypadku zderzenia karzemy podobnie — mandatem karnym. Przystosowania społeczeństwa nie osiągniemy przez mandat karny, odczuwamy potrzebę pracy wychowawczej, uświadamiającej. Poza tym piesi nie doceniają niebezpieczeństwa. Problem organizatora ruchu drogowego. W tej chwili widzi się, w odczuciu użytkownika drogi, że za stan dróg i ruch drogowy odpowiedzialni są: milicja drogowa i Wydział Komunikacji. Każdy z tych organów pracuje na własnym podwórku, potrzeba jednak lepszej koordynacji tych instytucji. Powinna istnieć instytucja pełnoprawna, która w oparciu o badania pracowni urbanistycznych mogła by przedstawić władzom miejskim konkretne propozycje: w jaki sposób rozwiązać zagadnienie ruchu obecnie i w przyszłości. Wiąże się to przecież z inwestycjami, z długofalowym planowaniem. Znaczna ilość wypadków występuje szczególnie w komunikacji tramwajowej. MPK ma kłopoty ze stanem taboru, z modernizacją taboru. **Większość wypadków, bo 48 proc. jest z winy pieszych.** Ale wnikając w szczegóły trzeba powiedzieć, że niekiedy i warunki są takie, np. niezamykane tramwaje ułatwiają wypadek.

A. KRASNOPOLSKI: Poza Wydziałem Komunikacji wszystkie inne wydziały mają określone wosokie uprawnienia zakazu, nakazu. Jedynym wydziałem, który nie ma takich preferencji jest Wydział Komunikacji. Wydział Komunikacji może pozbawić kogoś prawa jazdy, ale nie ma aparatu wykonawczego, nie ma tych elementarnych uprawnień, które by nakazywały wykonanie pewnych zarządzeń w trybie nakazu. Np. urbanistyka może nakazać rozebranie postawionego budynku. **W Łodzi Wydział Komunikacji nawet w sprawach ustawiania znaków drogowych i zabezpieczeń uzależniony jest od Wydziału Gospodarki Komunalnej. W sprawach zwiazanych z komunikacją Wydział Komunikacji powinien posiadać prawo zatwierdzania, wydawania odpowiednich zarządzeń, nawet karania.** Zasadniczo jednak organem represyjnym powinna być milicja, organem zaś koordynującym, nakazującym, myślącym — Wydział Komunikacji.

Ja jestem również przeciwnikiem represji. Ale pojęcie represji w ruchu drogowym jest pojęciem słusznym i zasadnym, praktykowanym na całym świecie. Kodeks określa odpowiedzialność za nieletnich pozostawionych samym sobie. Rodzice często wysyłają swe dzieci po zakupy, albo nawet wypuszczają je na spacery samodzielne. **Gdyby rodzice byli karani za to mandatem, na pewno mniej byłoby wypadków.** Kierowca — jest to profesja, którą łatwo można zlikwidować i łatwo można do niej przystąpić. Istniejące ograniczenia przy naborze nowych kierowców nie stanowią rozwiązania. Uważam, że system kursowy dla kierowców zawodowych jest nonsensem. **Kierowców niezawodowych raczej należy przystosować do ruchu drogowego, niż do technokratyzacji.** Czy 12 godzin jazdy może nauczyć człowieka prowadzenia samochodu? Cena życia i porządku jest najwyższa cena. Więcej na kursach szoferskich powinno być praktyki jeździeckiej, utrudnień w jazdach.

S. KOPREK: Kierowców pytają na egzaminach, ile cm szerokości musza mieć ławki dla pasażerów w ciężarówkach itp. Chyba nie od tych wiadomości zależy bezpieczeństwo?

INŻ. MAJEWSKI MPK: Przeprowadziliśmy weryfikację motorniczych. Czas trwania przeszkolenia motorniczych przedłużyliśmy z 305 do 350 godzin. Ilość przejść dla pieszych w naszym mieście jest bardzo duża, stąd konieczność częstego hamowania, a nawet zatrzymywania tramwajów, a przy tym utrzymanie się w rozkładzie jazdy dla tych pociągów jest b. trudne. MPK modernizuje tabor, zakłada się hamulce szynowe, które zmniejszają drogę hamowania, ale nie są w stanie skrócić czasu hamowania jak w pojeździe ogumionym. **Komunikacji masowej musimy poświęcić wiele uwagi, gdyż 1 pasażer pojazdu masowego zajmuje tylko 4 proc. tej powierzchni, jaką zajmuje pasażer pojazdu indywidualnego.**

ODGŁOSY: Wiadomo mi, że połowa zatrzymanych kiedyś kierowców prowadzących samochody ciężarowe nie znała znaków drogowych, nie zdała egzaminu z przepisów drogowych. Pan płk. Kowalczyk mówił, że główną przyczyna wypadków jest wymuszanie pierwszeństwa przejazdu, brak znajomości przepisów. Czy nie należałoby raz na 3 czy 5 lat poddawać kierowców egzaminowi? Przecież każdy, kto pracuje w warunkach niebezpiecznych, musi podnosić swe kwalifikacje, lub wykazywać się znajomością zasad bhp.

POR. J. ŚWIATŁY: Nie ma przepisu nakazującego okresowe egzaminowanie kierowców. Znajomość przepisów i zdyscyplinowanie społeczeństwa, to dwa warunki bezpieczeństwa. **Wg rocznika statystycznego z roku 1938 na terenie Łodzi było zarejestrowanych 1841 pojazdów. Obecnie mamy ich ponad 52 tys. przy tej samej liczbie mieszkańców. W roku ubiegłym zanotowaliśmy 48 wypadków śmiertelnych, a ponad 500 osób odniosło rany.** Stosujemy różne sposoby, by ludzi nauczyć i wychować. Zapewne dodatnio wpłynie na stan bezpieczeństwa zainicjowana przez Klub Motorowy Dziennikarzy akcja **„Stop — dziecko na drodze!"**, uczulając rodziców i oddając dzieci pod opiekę wszystkim dorosłym.

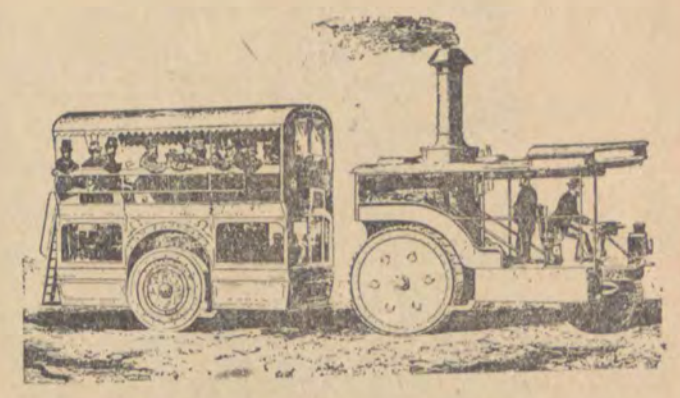

MGR C. PORA: Badania okresowe, o których mówił pan redaktor wydają mi się niemożliwe do wprowadzenia. Ale musimy jakoś działać, by kierowca znał przepisy. Musimy zmodernizować nauczanie na kursach. Kierowcy często recytują przepis, nie rozumiejąc go. **Nie ma przepisu, który mówi, że kierowca, który pije wódkę musi być pozbawiony prawa jazdy.** Ujawnia to nieszczęśliwy wypadek, bo uznanie kierowcy za nałogowego alkoholika jest bardzo trudne.

ODGŁOSY: Jak można sprawdzić, czy kierowcy znają przepisy, nie egzaminując ich okresowo? Fakt, że brakuje nam odpowiedniego przepisu nie ma znaczenia. Życie zawsze wyprzedza ustawy. Nie ma przepisu, że każde dziecko musi być zaszczepione szczepionką BCG. Ale każda matka, która to zrobi, oddaje swemu dziecku i społeczeństwu olbrzymią przysługę.

A. KRASNOPOLSKI: W niektórych państwach zachodnich jest zasada, że kierowca-amator przez czas pewien jest kandydatem o ograniczonych prawach, np. nie wolno mu zabierać pasażera. Można by i u nas postulować wprowadzenie podobnego przepisu do Kodeksu Drogowego.

* * *

Znacznie skrócony stenogram dyskusji nie uwypukla — być może — głównych jej punktów. A należy chyba zaliczyć do nich dwa następujące: w ub. roku zginęło w Łodzi 48 osób, a 500 odniosło rany (nie wiadomo, ile z nich zmarło!). Punkt drugi — to powszechne wśród specjalistów od zagadnień komunikacyjnych przeświadczenie, że nieznajomość przepisów zwłaszcza przez kierowców jest jedną z głównych przyczyn wypadków. Niestety, mgliście przedstawia się program usunięcia tego słabego punktu. Projekt „Odgłosów" — wprowadzenia egzaminów okresowych rozbił się o... brak przepisu. A sprawa jest poważna, zważywszy, że często życie ludzkie zależy od skromnych doświadczeń amatora. Często zaś zawodowy kierowca dlatego chwycił się tego fachu, bo czas przeznaczony na naukę zawodu stracił na co innego, a tu można szybko i jeszcze istnieją możliwości zarobku na boku.

Więc jednak postulujemy egzaminy okresowe. Dolegliwość wynikająca z takiej konieczności jest zawsze mniejsza od dolegliwości wynikającej z wypadku. Każdy rozsądny kierowca podda się egzaminowi, licząc na to, że inni współużytkownicy dróg również podniosą swoje kwalifikacje. Na początek można dobrowolnie, jak z owym zielonym listkiem. Szeroka akcja, propagująca przeprowadzenie egzaminów ze znajomości przepisów w zakładach pracy, klubach, stowarzyszeniach, a potem — znaczek na szybie informujący z daleka o odświeżeniu wiadomości. A może Czytelnicy nasi mają lepsze propozycje?

Zapewne w dyskusji pominięto wiele spraw z tego tak obszernego tematu. Na jedną należałoby zwrócić uwagę i to w oparciu o fakty. W dniu 24 stycznia br temperatura spadła poniżej zera, co spowodowało gołoledź. Gołoledzi tej nie zlikwidowano aż do następnej zmiany pogody, skutkiem czego na terenie miasta zanotowano 24 nieszczęśliwe wypadki drogowe, w tym jeden śmiertelny. Moralną odpowiedzialność za te wypadki ponoszą służby drogowe i dozorcy. Istnieje w Łodzi spora ilość dozorców, którzy nie mieli ani nie mają z tym zajęciem nic wspólnego. Podjęli się, by dostać mieszkanie. Reszta ich nie obchodzi. Jest to też jeden z problemów bezpieczeństwa na jezdniach.

Nożycami przez prasę

SZTUKA Z DUŻEJ LITERY

Lubujemy się w wyławianiu najdrobniejszych poloników. A we Francji mieszka i tworzy wielki rzeźbiarz, nasz rodak August Zamoyski (ur. w 1893). O nim czyta się rzadziej, niż o niejednym prowincjonalnym zespole big-beatowym.

Styczniowy i lutowy numery miesięcznika „Poezja" przyniosły artystyczno - autobiograficzne wspomnienie artysty. Napisane, dodajmy, dorodną i bujną polszczyzną, językiem odznaczającym się... temperamentem.

Zamoyski również wypowiada swój pogląd na sztukę „jako taką". Zacytujemy jedno przynajmniej zdanie:

„Nie chodzi mi więc tyle o samo rozwiązanie tajemnicy istnienia i o jej zrozumienie, ile o radość „wbudowania się" i zamieszkania w niej z całą ufnością, poprzez Sztukę".

POLSKIE MIASTECZKA

Tadeusz Chrzanowski, znawca sztuki uprawiający jednocześnie fotografię artystyczną, zastanawia się na łamach „Tygodnika Powszechnego" nad zmieniającym się — unowocześniającym rodzimym krajobrazem, w którym przybywa szos, na którego widnokręgach częściej widzi się sylwetkę traktora niż konia.

Autor wędruje przez miasteczka i stawia kilka pytań dotyczących ich losu, ich przebudowy. Zastanawia się nad tym, co należy ocalić, na jakie ich pozostałości współczesność prędzej czy później wyda wyrok skazujący.

Główny dylemat miasteczek:

Jedni chcą za wszelką cenę ocalić, a choćby nawet w na pół skansenowej mierze, utrzymać miasteczkowe status quo, drudzy jednak pragną wygodnie mieszkać i korzystać z tych wygód, które niesie ze sobą cywilizacja.

Należy tedy poważnie przeanalizować sytuację, biorąc pod uwagę kilka istotnych okoliczności. Oto niektóre z nich:

Przed krajobrazami miasteczek polskich stają dwa zasadnicze problemy szczegółowe: problem konserwatorski zachowania wartości dawnych i problem architektury nowoczesnej, która zastąpić musi to wszystko, co urąga standardom współczesnej cywilizacji.

...Oto zagadnienie na miarę ogólnopaństwową: regulacja sieci miast w Polsce. Trzeba ją przeanalizować od strony czysto ekonomiczno - geograficznej: ile ich naprawdę i w jakich wymiarach potrzeba naszemu krajowi.

...Nasza współczesna urbanistyka wydaje się propagować inicjatywy dorywcze, nazwałbym je „grządkowe". Jeżeli planuje się jakieś osiedle, to na zasadzie grządki: kilka bloków, dobrze jeżeli przynajmniej z jakimś fasonem rozmieszczonych w stosunku do siebie, i cześć.

...A sama architektura? Nadal jeszcze zbyt sporadyczne są jakieś samodzielniejsze, jakieś mniej stereotypowe rozwiązania: tu jakaś szkoła, tam pawilon, sklep, dom towarowy, kino. Że szanse są, że i osiągnięcia się trafiają — świadczy chyba najlepiej, iż nie proponuję rzeczy nieosiągalnych. Wieszaliśmy psy na architekturze socrealistycznej, ale co osiągnęła uwolniona z nieprzytomnych ozdóbek i porządków architektura Polski, Polski B, podkreślam, trzeciej ćwierci XX wieku? Szablonem stają się i formy, i detale z plasterkami balkonów na czele.

LEWORĘCY (C. D.)

Jeden z czytelników „Prawa i życia" wraca w obszernym liście do tej nabrzmiałej sprawy. Najpierw rekapituluje sytuację:

Mierząc więc skalą Warszawy — należy przyjąć, że w kraju na 16 mln mieszkańców miast jest ponad 130 tys. „leworękich". Nie jest więc to margines, wobec którego można przejść do porządku dziennego. Nietrudno uświadomić jak ogromne straty ponosi społeczeństwo dźwigając na swych barkach taką armię pasożytów. Nietrudno zrozumieć, że ta wielotysięczna rzesza młodych ludzi skierowana do twórczej pracy produkcyjnej może znacznie przyśpieszyć wzrost potencjału gospodarczego kraju. Przyglądając się tym nierobom, najczęściej również chuliganom, złodziejom i pijakom (osobiście obserwuję od kilku lat dwóch takich „niebieskich ptasków") wyzyskujących bezlitośnie przeważnie swe rodziny, zazwyczaj najbiedniejsze — człowiek zastanawia się jakie też mogą być granice demokracji dla ludzi tego pokroju? Osobiście jestem przekonany, że działanie tylko za pomocą perswazji i innych środków wychowawczych problemu nie załatwi, co zresztą potwierdzają warszawskie próby. Nie można zachęcić takich ludzi do pracy słowem, skoro lenistwo stało się ich chorobowym nałogiem. „Jestem przyzwyczajony spać do obiadu i nawet po wypłatę nie poszedłbym przed godziną 12" oświadczył mi pewnego razu 25-letni sąsiad wałęsający się od czasu ostatniego pobytu w więzieniu bez jakiegokolwiek zajęcia.

Domaga się:

Wydaje się więc, że należy ustawowo zastosować przymus pracy dla osób cierpiących chronicznie na hultajską chorobę. Uprawnienia do stosowania przymusu powinny posiadać kolegia karno-administracyjne działające przy prezydiach rad narodowych.

KONIE

Jak się zdaje, tygodnik „Kultura" zmienia swój profil. Rozkładówki, czyli dwie strony środkowe postanowił poświęcić hobbystom wszelakiej maści. Czytaliśmy o myśliwych (ich namiętne wyznania na temat miłości do ptaków i zwierząt budzą podejrzliwość), obecnie zaś znaleźliśmy rozważania o koniach. Cóż, koń w literaturze polskiej i w sztuce ma za sobą wielką przeszłość. Współczesność przesuwa go zdecydowanie na margines życia gospodarczego, ale...

Nieustający popyt na konie polskiej hodowli, ranga olsztyńskiego mityngu i sukcesy Polaków na hippodromach Europy stworzyły koniunkturę. Koń, to jeszcze nie elektryczna gitara, ale sporo młodzieży garnącej się do jeździectwa dowodzi, iż końskie hobby staje się coraz bardziej powszechne i — czego nie należy lekceważyć — modne. Modne, nie ta ulotna moda wykroju klap w marynarkach, czy grubości damskiego obcasa, ale moda na czas nieograniczony. Na bardzo długo — co znaczy zawsze — jak mówi prospekt reklamowy płaszczy marki „Burberry".

JAN OLECHNO

Wystawa i nerwy

TERESA WOJCIECHOWSKA

Niby drobiazg, mała wystawka 160 modeli obuwia, które przemysł zaproponuje handlowi na tegorocznych Wiosennych Targach Krajowych w Poznaniu, a jednak wydarzenie. Sądząc z frekwencji problem jest nabrzmiały jak noga w obuwiu krajowej produkcji. W ciągu dwóch dni największy łódzki sklep z obuwiem przy Piotrkowskiej 98 odwiedziło parę tysięcy kobiet w wieku od -nastu do -dziesięciu lat, a dwa tysiące wzięło udział w ankiecie oceniającej modele.

Warto było obserwować rozgorączkowane klientki, głodnym spojrzeniem pochłaniające bajecznie kolorowe, opalizujące kozaki, szał mody noszony podczas czterech sezonów wbrew zasadom higieny i zdrowego rozsądku, barwne czółenka z szerokimi nosami i jeszcze szerszymi obcasami. Stoisko przypominało ul. Dzielny kierownik sklepu, który na własną rękę chciał podsłuchać klientki, stał się ofiarą eksperymentu. Młodsze pytały czy już nie można by tego kupić, starsze i nieco tęższe szarpały go za rękaw wołając, że znowu nic dla nich, bo one w czymś takim chodzić nie będą.

Chyba niepotrzebnie się denerwowały. Poznańskie modele błyszczały, opalizowały, kusiły wesołymi barwami. Kontrastowały wyraźnie z tym, co sklep oferuje na swych stałych stoiskach. Żałosna sprzeczność między radosnym optymizmem perspektyw, a szarą codziennością. To są fasony, które zachodni dyktatorzy wprowadzili do mody rok temu. Nasz przemysł zaprezentuje je handlowi na wiosnę, handel wybierze, przemysł przystąpi do produkcji, można więc liczyć, że za rok coś z tego ukaże się w sklepach. Nie wykluczone, że przez ten czas Paryż wylansuje już całkiem coś innego. Nasz pościg za modą europejską przypomina gonitwę za własnym cieniem. Nie możemy dogonić. Ponoć główną przeszkodą są kopyta. Przepraszam za wyrażenie, ale to się tak nazywa. W Polsce istnieje tylko jedna wytwórnia kopyt, obsługująca wszystkie fabryki obuwia. Nie nadąża, to zrozumiałe. Trudno tylko zrozumieć dlaczego nie ma dotychczas drugiej fabryki kopyt, a nawet trzeciej i czwartej. Może nikt na to nie wpadł?

Klientki sceptycznie patrzą na nasze obuwie. Twarde, nie wygodne. Dlaczego? Podejrzewam, że naukowcy nie zakończyli jeszcze pomiarów antropometrycznych polskiej stopy. Może nawet do stopy jeszcze nie doszli, bo zdaje się mają kłopoty z wyższymi partiami fizycznej konstrukcji naszych obywateli(lek). Co widać po tak zwanej konfekcji. Na przykład dzieci, od nich wszystko się zaczyna. Rosną na witaminach coraz gwałtowniej, są na swój wiek coraz to większe i trzeba pomiary rozpoczynać ciągle od początku. Trwa to już dwadzieścia lat. W oczekiwaniu na pomiary Polacy ubierają się w zagraniczną odzież, która, ku powszechnemu zdumieniu, leży na nich jak ulał. Być może nawet wbrew wynikom badań antropometrycznych.

Z powodu tej wystawy nie należy wpadać w panikę. Ona tylko w Łodzi została zorganizowana po raz pierwszy. W innych miastach takie wystawy urządza się od lat. Podobno Katowice mają już ich dosyć. Wydaje mi się, że domyślam się dlaczego. W Katowicach ludzie napatrzyli się już do syta na to co mogliby nosić, a czego nie noszą, bo jest tylko raz na rok na wystawie. I denerwują się. Bo na Targach Poznańskich są zawsze świetne modele, ale tylko na Targach. Co prawda handel twierdzi, że czasem są potem i w sklepach, tylko że ich poznać nie można. Bo co model to model, a jak pójdzie na taśmę, to się jakoś dziwnie zmienia. Może tu tkwi przyczyna faktu, że w przemyśle obuwniczym kary za jakość wzrosły ostatnio o sto procent i idą w miliony złotych.

Na razie jedynym realnym efektem wystawy jest 10 szczęśliwych uczestniczek ankiety, które do nagrody wylosowała całkowicie obiektywna, bo dwuletnia kobieta, która nie ma jeszcze żadnego stosunku ani do obuwia, ani do handlu. Głos zdrowego rozsądku popłynął z ust kierownika sklepu, który na propozycję kontynuowania „akcji wystawniczej" zawołał: „Mogę to robić, proszę bardzo, ale pod warunkiem, że za pół roku będę miał to wszystko w sklepie. W przeciwnym razie — dziękuję".

Kierownik wie co robi, on zna życie. Tak samo jak pewna pani, która opuszczając wystawę schowała eksponat do torby. Zapytana po co jej jeden but z lewej nogi odpowiedziała, że chciała pożyczyć na godzinkę, żeby pokazać swojemu szewcowi. Należy przypuszczać, że mówiła prawdę.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Wszystko zaczęło się od Ludmiły, jednak nie tej, ze „Słówek" mistrza Boy'a, lecz mało znanej księżniczki piastowskiej, która z ziemi rodzinnej przybyła do dalekiej Lotaryngii. Była wnuczką Bolesława Krzywoustego, a córką Mieszka zwanego Starym, władcy Wielkopolski, który przez całe swe długie życie marzył o zwierzchnictwie nad całą Polską, o tym, by tak jak niegdyś jego ojciec zasiąść na tronie w Krakowie. Zanim na parę lat ledwie, po śmierci starszego brata Bolesława Kędzierzawego zdołał osiągnąć ten cel (1173 r.), zabiegał usilnie o umocnienie swej pozycji, a w związku z tym i o korzystne koligacje dynastyczne.

Polski dziejopis z początku XIII wieku, uczony biskup krakowski, mistrz Wincenty Kadłubek zanotował, że pośród zięciów Mieszka znajdowali się — władca czeski Sobiesław, książę saski Fryderyk oraz „książę Lotaryngii, kuzyn cesarza".

Nie jest to pierwszy ślad stosunków polsko-lotaryńskich, których początku trzeba by szukać jeszcze za panowania Bolesława Chrobrego. Zapewne chęć zbliżenia z domem cesarskim spowodowała, że Mieszko Stary gdzieś około 1166 roku zdecydował się wydać swą córkę Wierzchosławę-Ludmiłę, urodzoną przed 1153 rokiem, za Fryderyka I hrabiego Bittes, młodszego syna księcia Lotaryngii Macieja. Matka oblubieńca była siostrą Fryderyka Rudobrodego, tego samego, który niedawno stoczył wojnę z Polską w roku 1157. Trudno dziś wiedzieć, kto pośredniczył w zawarciu tego polsko-lotaryńskiego małżeństwa, można się jednak spodziewać, że pewną rolę odegrali tu zakonnicy cysterscy.

Los zrządził, że polska księżniczka pod koniec życia swego małżonka została pani Lotaryngii. W pierwszych latach XIII wieku Fryderyk I objął rządy książęce po swym mało energicznym bracie Szymonie II o przydomku „Pokojowy". Cieszył się władzą ledwo jeden rok, był już bowiem w podeszłych leciech i w 1206 roku zmarł, pozostawiając wdowę, która miała go znacznie przeżyć (zmarła wedle jednych w 1223, wedle innych w 1228 roku) i dzieci. Fryderyk I, mając czterech synów i dwie córki, musiał z troską myśleć o ich wyposażeniu. Jego władztwo było niewielkie, a któż mógł się spodziewać, że uśmiechnie się

Białystok — brat Łodzi

Dalszy ciąg ze str. 1

bardziej dynamiczny: w roku 1945 notowano w Białymstoku ok. 45 tys. mieszkańców, obecnie jest ich ok. 145 tysięcy.

Zarówno dla „tubylców", jak i dla ludności napływowej trzeba było stworzyć odpowiednie warunki życia i pracy, wypoczynku i rozrywki kulturalnej. Dokonano w tych dziedzinach bardzo wiele, zwłaszcza w ostatnim okresie decentralizacji. Mimo to Białystok cierpi, podobnie zresztą jak Łódź, na kompleks prowincji. Kompleks niewspółmiernie większy, o czym niech zaświadczy przypadek następujący.

W czasie pobytu w Białymstoku zrobiłem sobie wycieczkę na przedmieście zwane Wygoda. Przedmieście dość odległe od centrum, skąd dojeżdża się jednakże w kwadrans autobusem (tak na marginesie: jeździ się tu tylko autobusami, które są szybkie i wygodne — daj nam Panie Boże i dyrektorze MPK taką komunikację w Łodzi!). Po drodze wdałem się w pogawędkę z mieszkanką tej dzielnicy, jak się okazało, studentką miejscowej Akademii Medycznej (bo Białystok, a jakże, ma swoją wyższą uczelnię). Mówiliśmy o podróżach, o różnych miastach w Polsce, i w trakcie tej rozmowy studentka napomknęła o tym, że podczas ferii zimowych jechała z koleżanką do Poznania. Gdy towarzystwo w przedziale pytało je, skąd pochodzą, nie przyznały się do swego białostockiego rodowodu, zełgały, że były tylko w Białymstoku w odwiedzinach u znajomych. Myślę, że łódzkie studentki nie mają tego kompleksu. Skąd to poczucie niższości u białostoczanek? Z Łodzi do Warszawy jedzie się dwie i pół godziny pociągiem osobowym, z Białegostoku do Warszawy tak samo, tyle że pośpiesznym. Wiadomo, że Białystok jest po Łodzi najbliżej położonym miastem wojewódzkim w stosunku do stolicy. Dlaczego więc wspomniany kompleks prowincji daje tu się o wiele bardziej we znaki?

Przyczyn jest zapewne sporo, nie sposób poznać ich w czasie kilkudniowego pobytu. Sięgają one daleko w przeszłość, zawsze przecież były to rubieże kraju, w latach międzywojennych szczególnie silnie akcentowano, iż jest to Polska „B" (Białostockie — a więc nomen-omen). Pierwsze dziesięć lat po drugiej wojnie niewiele odmieniło tę sytuację. Skromnie tu inwestowano, więc i przemiany następowały bardzo powoli. Pierwsza większa inwestycja, kombinat włókienniczy w Zambrowie, (którego pierwszymi pracownicami były znów łódzkie tkaczki i prządki), nastąpiła dopiero w roku 1955, stanowczo za późno, jak na wiekowe zaniedbanie i zacofanie tej części kraju.

Na ziemi białostockiej spędzałem ostatnie wakacje, bardzo przypadła mi ona do gustu, zwłaszcza jej lasy i wody (gdzie jest jeszcze w Polsce takie rozległe i malownicze jezioro jak Wigry, nad którym znajduje się bodaj tylko jeden większy ośrodek wczasowy?), nic więc dziwnego, że będąc w Białymstoku zapragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej o życiu mieszkańców tej ziemi, ich ambicjach i zamiłowaniach.

Pan Tadeusz Bakun, zastępca kierownika Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej, wprowadza mnie najpierw w problemy narodowościowe Białostocczyzny. Sporo tu Białorusinów, Litwinów, Rosjan, Ukraińców. Mimo różnic językowych, istnieje coś, co łączy te mniejszości narodowościowe z miejscową ludnością polską: jest to wspólne zamiłowanie do muzyki i śpiewu. Wsie białostockie są na ogół biedniejsze od innych wsi w kraju, a rzecz znamienna: mieszkańcy ich bardzo garną się do książki, do oświaty. Tak np. ilości wypożyczanych książek w tutejszych bibliotekach gromadzkich i punktach bibliotecznych stale wzrastają, podczas gdy na innych terenach wiejskich utrzymują się od kilku lat mniej więcej na tym samym poziomie. Wieś białostocka odnotowuje największą, po wsi bydgoskiej, liczbę czytelników na tysiąc mieszkańców. Słuchając tych relacji przypominam sobie spo-

Lotaryński prawnuk Bolesława Krzywoustego

doń łaskawy los, by przynieść mu tron książęcy? Nic więc dziwnego, że drugiego ze swych synów, imieniem Maciej, urodzonego gdzieś koło 1172 roku, już w dzieciństwie przeznaczył do stanu duchownego. Chłopiec szybko został kanonikiem, uzyskał dochodowe probostwo w Saint Didier, wreszcie w 1198 roku został biskupem Toul. Był człowiekiem jak najbardziej świeckiego sposobu życia, rozmiłowanym w hulankach, pijatykach i łowach i pewnie wydawało mu się, że jego urodzenie i wpływy zamkną usta tym, którzy by śmieli być niezadowoleni z jego postępowania.

Bardzo się jednak przeliczył. W piątym roku jego rządów (1202 r.) kapituła wniosła przed papieżem Inocentym III oskarżenie, zarzucając Maciejowi marnotrawienie dóbr kościelnych, kupczenie stanowiskami duchownymi, wreszcie gorszące życie oraz nie liczenie się ze zdaniem kapituły. Rozpoczęło się dochodzenie kanoniczne, z którego Maciej niewiele sobie robił. Kiedy jednak nie stawił się osobiście przed papieża, a nadto zlekceważył zakaz sprawowania funkcji kościelnych, Inocenty III pozbawił go godności i zlecił kapitule wybór nowego biskupa Toul. Został nim w 1210 roku syn podczaszego króla Francji — Reginald de Senlis. Maciej zaś, skoro tylko zorientował się, że jego sprawa jest już przegrana, zdążył jeszcze pozastawiać co znaczniejsze dobra biskupstwa, poczem znalazł sobie schronienie przy jednym z ustronnych kościółków. Towarzyszyli mu tam co bardziej oddani dworacy. Czas spędzano głównie na łowach.

Ludzie powtarzali przeróżne wieści o dawnym biskupie: powiadano, że niegdyś wziął sobie za nałożnicę jakąś mniszkę z pobliskiego klasztoru, teraz zaś... Ale, mniejsza o to, w każdym razie postępowanie Macieja obudziło niepokój na dworze książęcym w Nancy, gdzie władcą był już jego brat Fryderyk II. Chciał on zmusić niepoprawnego biskupa do ustatkowania się, jego nałożnicę zamknął w klasztorze — nic jednak nie skutkowało. Jednakowoż kończyły się już zagrabione skarby. Maciej coraz gwałtowniej musiał przemyśliwać nad środkami, jakby powiększyć swe zasoby, a jednocześnie wywrzeć zemstę na swoim następcy. Dwóm najbardziej zaufanym ludziom kazał śledzić każdy krok biskupa, który właśnie wybrał się na objazd diecezji. Wreszcie na górskiej drodze urządzono zasadzkę. Kiedy orszak nadciągnął, Maciejowi goryszkowie z łatwością sterroryzowali i ograbili podróżnych, zaś jeden z najbardziej oddanych pachołków imieniem Jan, sługa córki awanturniczego eksbiskupa, rzucił się z nożem na Reginalda. Maciej przyglądał się wszystkiemu z pobliża, a upewniwszy się o śmierci biskupa, zawrócił konia.

Niektórzy powiadali, że ujdzie to Maciejowi bezkarnie, zbyt wielu miał on wysoko postawionych krewniaków i znajomych. Stało się jednak inaczej. Panowie de Senlis nie chcieli dać za wygraną. Kilka miesięcy później zawitał w te strony nowy książę, panujący od 1213 roku siostrzeniec Macieja — Teobald. Stryj chciał szukać u niego wybaczenia, ale przeliczył się — znalazł śmierć z jego własnej ręki.

Richer, piszący nieco później (od 1254/5 roku) kronikarz kościoła w Senones (zmarł w 1267 roku), któremu zawdzięczamy znajomość tych wydarzeń opowiada, że wszystkich uczestników morderstwa na Reginaldzie spotkał wreszcie nędzny koniec. Nas interesuje jednak nie tyle teologiczne rozumowanie dziejopisa, który widział w tym palec Boga, ale podawane przezeń fakty. Otóż — powiada on — ów ksiądz Teodoryk (Terricus) z kościoła św. Deodata, ten właśnie który z polecenia Macieja śledził biskupa i wybrał był miejsce zasadzki, w obawie przed sprawiedliwością... uciekł do Polski. Oto słowa kronikarza: „Albowiem ów ksiądz Teodoryk... widząc co się stało, a lękając się pozostać na miejscu, udał się do ziem Polski. I przedstawiwszy się władcy kraju oświadczył, że jest jego krewniakiem. Matka bowiem owego proboszcza Macieja (tak kronikarz zwał naszego biskupa, który był jednocześnie proboszczem kościoła, przy którym ów Teodoryk był księdzem) była córką władcy kraju Polski. Gdy usłyszał książę Polski, że ów jest z nim spokrewniony, przyjął go jak najłaskawiej. Ów tedy ksiądz Teodoryk oświadczył, że jest rycerzem. Był bowiem mężem dość przystojnym, mającym silny tułów i członki tak, że kształtną powierzchownością pozyskał wiarę dla swego rycerstwa. Jakoż ów Teodoryk tak się w rycerskich czynach wyróżnił, że władca Polski złączył z nim w małżeństwo pewną szlachetną niewiastę z owego kraju. On jednak przez krótki czas żył z tą kobietą, bowiem poległ zabity w bitwie. I tak to wzgardziwszy rycerstwem bożym, a oddawszy się rycerstwu ziemskiemu nędznie zakończył życie".

Tyle Richer, który umieszcza tę opowieść pośród innych informacji pod rokiem 1217. Spróbujmy wyjaśnić to opowiadanie. O tym, że matka Macieja była polską księżniczką, Teodoryk mógł dowiedzieć się stosunkowo łatwo, chociażby od niego samego; sprawa ta była zresztą powszechnie wiadoma w Lotaryngii i krajach sąsiednich. Ucieczka do Polski wydaje się bardzo prawdopodobna, zwłaszcza, że przybywało tu wówczas wielu ludzi zza Renu. Znamy zresztą także i wcześniejszy wypadek, że pewien duchowny z Francji w obawie przed karą szukał schronienia w Polsce. Z okoliczności, że Teodoryk powołał się na (rzekome, rzecz jasna) pokrewieństwo z nie wymienionym z imienia księciem Polski wynika, że ten ostatni był zapewne potomkiem ojca Ludmiły — Mieszka. Około 1217 roku mógł to być wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — jak sądzili badacze omawianego tu przekazu A. Przeździecki i B. Ulanowski — Władysław Laskonogi, ostatni syn Mieszka Starego z jego drugiego małżeństwa. Z opowieści Richera wnioskujemy, że wprawdzie księciu znany był fakt lotaryńskiego małżeństwa Ludmiły, ale nie był on dokładnie poinformowany o jej dalszych losach, skoro uwierzył, że Teodoryk jest jego krewniakiem. Laskonogi toczył właśnie walkę ze swym bratankiem o panowanie w całej Wielkopolsce, uwieńczone w 1217 roku zdobyciem Poznania i Kalisza oraz ucieczką księcia na Węgry. Zapewne w tych to bojach odznaczył się nasz przybysz z Lotaryngii. Kiedy i gdzie zginął? Tego nie wiemy. Może pod Kaliszem, może w którejś z późniejszych bitew — okazji do walki wówczas nie zbywało. Źródła polskie nie przechowały żadnej wieści ani o nim, ani o jego małżonce, ale w jakiś sposób uzyskał je francuski dziejopis. Może od któregoś z przebywających w Polsce współrodaków?

Rys. P. Picasso

---

strzeżenia, poczynione w czasie mych wędrówek po ziemi łódzkiej. Przecież i u nas, to charakterystyczne, mieszkańcy uboższych wsi chętniej sięgają po książki i przychodzą na odczyt, niż ci ze wsi zamożnych, często nawet o bogatych tradycjach kulturalnych...

Miejscowy Wydział Kultury stara się o rozeznanie w specyfice wsi białostockiej i w potrzebach kulturalnych mieszkańców, dążąc do zaspokajania tych potrzeb przez wykorzystanie niektórych koncepcji organizacyjnych, stosowanych w innych częściach kraju. Tak np. na wzór szczecińskich rejonowych ośrodków kultury (o których pisałem w swoim czasie na łamach „Odgłosów" w reportażu ze Szczecina), organizuje się tutaj gromadzkie ośrodki kultury, mające również za zadanie zespolenie ludzkich inicjatyw oraz środków finansowych pochodzących z różnych źródeł. Tyle tylko, że wsie białostockie nie mają dawnych pałaców czy dworów, tzw. problem lokalowy występuje tu więc ze szczególną ostrością. Podobnie większe kłopoty są z dotacjami miejscowych instytucji, organizacji i zakładów pracy, a także ze świadczeniami społecznymi, większe o tyle, że te dotacje i świadczenia są mniejsze. Gromadzkie ośrodki kultury finansuje się więc z budżetu rad narodowych, a ich funkcjonowanie opiera się na społecznych radach kultury.

I tu jednak, podobnie jak w gospodarce narodowej, trzeba brać pod uwagę tzw. priorytety. Jeśli zderzają się z sobą takie np. potrzeby jak wzniesienie nowego budynku dla któregoś z gromadzkich ośrodków kultury i budynku dla Teatru Lalek, który jest bezdomny, a obsługuje całe województwo — pierwszeństwo daje się, rzecz jasna, tej drugiej potrzebie. Analogicznie stawia się sprawę odpowiedniego pomieszczenia dla Orkiestry Symfonicznej i Średniej Szkoły Muzycznej, choćby dlatego, że patronują one ludowym instytutom muzycznym, istniejącym na terenie całej Białostocczyzny.

Powiedzmy więc wreszcie coś więcej o samym Białymstoku. Wśród nazwisk kolegium redakcyjnego wydanej nie dawno książki „Białostocczyzna w dwudziestoleciu Polski Ludowej" znalazłem nazwisko Walentego Awiera, kierownika Wydziału Propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Walenty Awier, przedstawiając mi sytuację kulturalną Białegostoku, mówi, że nie jest ona najgorsza, ale daleko jej jeszcze do doskonałości. Podsumujmy: działa tu Teatr Dramatyczny im. A. Węgierki, wspomniany już Teatr Lalek „Świerszcz", Orkiestra Symfoniczna, istnieje bardzo żywotne środowisko muzyczne i plastyczne, gorzej jest ze środowiskiem literackim, choć pewne symptomy wskazują na to, że i ono z czasem się rozwinie. Duże nadzieje wiąże się w tej mierze z powołaniem do życia od nowego roku kwartalnika społeczno-kulturalnego „Kontrasty", wydawnictwa, które ukazywało się dotąd nieregularnie, na zasadach społecznych (było finansowane przez Białostockie Towarzystwo Kulturalne), a obecnie przejęła je RSW „Prasa". „Kontrasty" redagować będzie p. Krystyna Marszałek, pisarka, posłanka i działaczka kulturalna w jednej osobie, należy więc oczekiwać, że jej talent organizacyjny potrafi skupić wokół kwartalnika co zdolniejsze pióra białostockie. Również pewne inicjatywy miejscowej Rozgłośni PR, jak np. konkurs na opowiadanie, sprzyjają pobudzeniu wątłego jak dotychczas życia literackiego.

Cóż poza tym? Warto wspomnieć o Wojewódzkim Domu Kultury, przy którym działa poradnia kulturalno-oświatowa, zatrudniająca wykwalifikowanych instruktorów: reżyserów, muzyków, plastyków, choreografów. WDK patronuje wielu zespołom regionalnym, wśród których najstarszym zespołem są „Kurpie Zielone", opierające swój repertuar na folklorze kurpiowskim i podlaskim (zespół ten ma na swym koncie liczne sukcesy krajowe i zagraniczne oraz mnóstwo koncertów, w ich liczbie także koncert w Łodzi).

Moje ostatnie spotkanie białostockie miało charakter prywatny i odbyło się w kawiarni Klubu Książki i Prasy, którego przestronne i nowoczesne pomieszczenia w niczym nie ustępują łódzkiemu klubowi przy ul. Narutowicza. Uściskałem dłoń dawnemu znajomemu z Łodzi, red. Krzysztofowi Wójtowiczowi, i zaraz potem, gdy zamówiliśmy kawę, zapytałem go, czy cierpi na kompleks prowincjonalny? Krzysztof roześmiał się, i wyznał z rozbrajającą szczerością, że nie miał czasu zastanawiać się nad tym. Tu gwoli wyjaśnienia: red. Wójtowicz jest jednym z filarów miejscowej Rozgłośni PR. W roku ubiegłym otrzymał nagrodę ministra obrony narodowej za publicystykę radiową, jest też działaczem Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich. Od lat zbiera materiały do monografii poszczególnych regionów Ziemi Białostockiej, opracowuje sylwetki zasłużonych dla tej ziemi ludzi. Są więc bogate tradycje i jest wcale im nie ustępujący dzień dzisiejszy Białostocczyzny, a zwłaszcza jej stolicy — Białegostoku. Bo Białystok jest Mekką i Medyną dla mieszkańców północno-wschodniej części kraju. Ciągną tu oni po pracę, po naukę, po rozrywkę kulturalną. Jeśli tylko mogą, osiedlają się na stałe lub choćby okresowo w Białymstoku (wynajęcie niedużego pokoju kosztuje tu przeciętnie od 600 do 800 zł miesięcznie, czyli wcale nie mniej niż w Warszawie). Czy jest więc Białystok miastem prowincjonalnym, gorszym od innych miast wojewódzkich w Polsce? To rzecz względna, wszystko zależy od punktu widzenia, jak zwykł mawiać pewien mój dobry znajomy.

TADEUSZ GICGIER

KRYSTYNA WIŚNIEWSKA

* * *

to będą już dni najszczęśliwsze
spotkamy się znów
w blasku jesieni
w czerwieni smukłych liści
tak samo młodzi
tak samo czuli
jak gdyby nic się nie wydarzyło
przez długi czas nieobecności
serca przy sercu

przez czas tęsknoty —
jak gdyby nie było
opustoszałej ziemi naszych marzeń
i nocy bólu
obcych rąk
które całowałam

jedyni dla siebie
jeszcze raz
rozchylimy ramiona miłością

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Mój pies

Nocą czuwa przy księżycu
i tropi ślady gwiazd nad wodą,
sierść jeży,
przednie łapy pręży,
rozbija trójkątne namioty uszu
na łba kosmatym wzgórzu
i zwolna magiczny ogon
zwija nieskończoność.

Tak wszechświat
z tyłu sterczy mu spiralą,
on Narcyz
— ciałem własnym się zadowala.
Czasem bunt lewym okiem mu błyśnie,
lecz prawe przymknie chytrze,
że niby nic
— sumienie czyste.
Tak kość dławiąc w sobie niewidzialną,
żyje, bo żyje,
tak przy mnie, że we mnie,
ten i — ów kopalny.

Noc u studni księżyca,
otchłań wzmaga się gwiazdami,
a on samotny pośrodku życia,
wśród czerni zbłąkany,
zawzięcie szczeka
na własne echo.

. . . . . .

Czy to bies?
Czy to pies?
Czy złorzeczy dożom?
Czy się korzy
przed sobą?

jesień 1967

IAN ONOPA

* * *

Nie przeczę, jestem biblijnym prochem,
Ale i częścią ziemi, słońca.
I tyle we mnie mocy,
Że jestem,

I mnożę radość i wolność swoją —
Jak dobry sad,
Łąka,
Dzieło sztuki.

Bo tyle we mnie mocy,
Że z każdym krzykiem,
Niepokojem,
Nawet ze śmiercią i obrazą
Krzyżuję swoje pięści.
I przez wiele chwil nie przegrywam!

Marian Piechal o twórczości i problemach środowiska młodych

Przedstawiciel Kolumny Młodych przeprowadził rozmowę z prezesem Związku Literatów Polskich w Łodzi — Marianem Piechalem. Rozmową tą pragniemy zainicjować dyskusję nad sprawami istotnymi dla łódzkiego środowiska młodych.

KOLUMNA MŁODYCH:

Łódź w okresie powojennym stała się ważnym ośrodkiem życia naukowego i kulturalnego w kraju. Nastąpił również bujny rozwój życia literackiego. W odniesieniu do młodych, a szczególnie tych najmłodszych, obserwujemy obecnie zjawisko, które można określić jako eksplozję grup, jeśli zważymy, że oprócz przyzwiązkowego Koła Młodych istnieje jeszcze szereg innych ugrupowań przy organizacjach i stowarzyszeniach (ZMS, ZMW, „PAX") oraz przy niektórych zakładach pracy i wyższych uczelniach, i to nie tylko tradycyjnie humanistycznych, na przykład przy Wojskowej Akademii Medycznej.

Co Pan sądzi o tej wielości ugrupowań młodych?

MARIAN PIECHAL:

W wielości ugrupowań młodych i najmłodszych adeptów pióra widzę pozytywny objaw. Rozbudzenie zainteresowań ogólnych, które stanowią przedmiot poezji, korzystnie świadczy o ambicjach młodzieży literackiej Łodzi.

Niepokoi natomiast fakt, że młodzi wyraźnie nie różnią się między sobą, że ilość grup nie przechodzi w jakość utworów.

Następnie brak jest wyraźnych oznak współzawodnictwa w środowisku młodych, przy czym nie idzie tu o współzawodnictwo w sensie antagonistycznym, rozumiane jako wzajemne zwalczanie się między sobą, lecz o współzawodnictwo w imię określonych racji, postaw i zasad wynikających z wyboru określonych tradycji i swoistego rozumienia współczesności. Wszystkie te grupy za mało między sobą walczą. Zbyt długi jest proces inkubacji talentów jako odrębnych indywidualności. Indywidualność musi się przecież ujawniać w zainteresowaniach, dyskusjach, chęci narzucenia otoczeniu własnych sposobów interpretowania rzeczywistości. Poczucie pewnego rodzaju posłannictwa związane jest nieodłącznie z twórczością .

Istnieje więc pilna potrzeba stworzenia jakiejś międzyśrodowiskowej komisji porozumiewawczej dla spraw konsultacji, nawiązywania i organizowania współpracy między poszczególnymi klubami młodych. Kluby te pozostawałyby w stałym kontakcie z sobą, organizowały wspólne dyskusje nad wybranymi zagadnieniami. Pożytek wynikający z tego rodzaju kontaktów byłby niewątpliwy: umożliwiałby szybsze dojrzewanie intelektualne i twórcze zarówno całych grup jak i poszczególnych indywidualności w grupach. Podkreślić należy, że nie chodzi bynajmniej o porozumienie okupione ceną kompromisu, ale o wzajemne poznanie siebie i słusznych w trakcie dyskusji racji oraz sprawdzania ich pod kątem przydatności we własnej praktyce poetyckiej.

KOLUMNA MŁODYCH:

Jakie okoliczności uzasadniają podział międzypokoleniowy na tak zwanych „młodych" i „starych"?

MARIAN PIECHAL:

Żadne. Cenzus wieku nie odgrywa w twórczości żadnej roli. Bo zdarza się, że poeta w zaawansowanym już wieku i ze znacznym stażem pisarskim doskonale operuje pełnym zakresem nowoczesnych środków wyrazu i nowoczesnych tematów, zaś młody i początkujący poeta z uporem trzyma się tradycyjnych rekwizytów poetyckich równie ślepy co bezradny wobec otaczającej go rzeczywistości. To tylko właściwa orientacja w świecie i użycie odpowiednich środków do wyrażenia swojego stosunku do niego przesądza o tym, kto jest stary, a kto młody. Wyłącznie z tej pozycji można z sensem mówić o starych i młodych. W interesie ciągłości naszej kultury leży więc nieustający dialog między starymi i nowymi wartościami.

KOLUMNA MŁODYCH:

Czy młodość fizyczna pozwala na ogarnięcie tych dziedzin doświadczenia ludzkiego, od których zależy powodzenie poezji?

MARIAN PIECHAL:

Przywilejem młodości jest wrażliwość, ostrość i świeżość widzenia. Ujrzeć rzeczy bliskie, lecz nie koniecznie znane w nowy, odkrywczy sposób można tylko pod warunkiem zachowania wysokiej sprawności zmysłów, które są pierwszym szczeblem drabiny poznania i stanowią rodzaj wejścia czy okna na świat. Zmysłowa reakcja na rzeczywistość w procesie poznawania świata jest pierwsza, po niej bowiem dopiero umysł dokonuje koniecznych operacji porządkowania i wiązania wrażeń w zależności bardziej ogólne.

W psychologii twórczości niemałą rolę odgrywa element wspomnienia. Na wspomnieniu młodości osnute zostało niejedno arcydzieło w poezji, jak na przykład „Pan Tadeusz", „Oniegin", „Faust".

Oczywiście, są fenomeny zdające się przeczyć wyżej sformułowanym zależnościom. Przykładem Rimbaud, którego twórczość przypada na okres pokwitania. W okresie, w którym można było się spodziewać, że pewne motywy jego twórczości wyodrębnią się i staną się dominujące, poeta ten przestał pisać.

Tego typu odstępstwa jednak są bardzo rzadkie. W poszczególnych przypadkach niezmiernie trudno jest określić wyczerpująco warunki i okoliczności pełnej realizacji poetyckiej. Mówimy na przykład, że GOETHE reprezentuje pełną realizację osobowości twórczej w swoim dziele, a Mickiewicz nie... Przy zachowaniu tej skali porównania stwierdzić możemy, że w kulturze polskiej w pełni zrealizowali się w swoim dziele zaledwie Kochanowski, Norwid, Szopen, może jeszcze Sienkiewicz...

KOLUMNA MŁODYCH:

Rola uzdolnień przyrodzonych a potrzeba dyscypliny i pracy w poezji?

MARIAN PIECHAL:

Uzdolnienia przyrodzone same przez się nic nie znaczą i nie mogą stanowić podstawy do jakichkolwiek uroszczeń. Zdolności ujawniają się w realizacji twórczej czyli w pracy. Talent, traktowany tu wymiennie z uzdolnieniami, to rodzaj niepokoju, który popycha nas do działania i dopiero w działaniu tym ujawnia swój charakter. Dla pisarza pozostaje zagadką, podobnie jak i dla Kolumba ląd, który się przed nim odkrywa, lecz nigdy nie jest przez niego zupełnie odkryty. Dopiero krytyka, historia literatury analizując dzieło pisarza, orzeka o charakterze jego talentu. Sam autor nigdy nie jest zupełnie pewien swoich możliwości i nigdy nie potrafi przewidzieć ostatecznego kształtu podjętego zamierzenia. W wysiłku, w dyscyplinie narzuconej przez rodzaj swoich zamierzeń realizuje dzieło, lecz nie jest pewien jego zakończenia, podobnie jak Mickiewicz, który pisząc „Pana Tadeusza" przekształcał i rozbudowywał w miarę pisania pierwotnie skromny zamysł sielanki.

Reasumując stwierdzić można, że przyrodzone zdolności bez zdyscyplinowanej pracy nie mają okazji, aby się ujawnić. Talent rośnie i ujawnia się w trakcie pracy nad utworami, do realizacji których popycha nas właśnie świadomość posiadanych uzdolnień. Przy tym posiadacz takich uzdolnień powinien być skromny i traktować je jako rodzaj zobowiązania, a nie jako powód do roszczeń. Ten, który z racji posiadanego talentu traktuje siebie jako osobę wyjątkową i stosunki z otoczeniem zasadza na tej wyjątkowości, gubi swój talent. Wystarczy rozejrzeć się dookoła, aby zobaczyć jak wielu z tak zwanych niewydarzonych twórców jest zgorzkniałych, zasklepionych w dzikich pretensjach do otoczenia. Żywią oni żal do wszystkich, z wyjątkiem siebie. Normalnie, każdy człowiek, a zwłaszcza twórca, swoje niepowodzenia zawdzięcza przeważnie własnemu lenistwu. Chyba, że nie ma talentu, a wmawia sobie, że ma Trudno o deszcz, gdy nie ma chmury.

KOLUMNA MŁODYCH:

Jakie uwagi zechce Pan przekazać młodym?

MARIAN PIECHAL:

Żeby, nie tracąc nadziei, w trudzie codziennej pracy poszerzali znajomość siebie; pogłębiali wiedzę o własnych uzdolnieniach i zdobywali świadomość świata, w którym przyszło im tworzyć. Sztuka wiąże się z wielką odpowiedzialnością, ponieważ do jej zadań należy projekcja nowego oblicza świata.

Życzę więc młodym, aby z powodzeniem pracowali nad sobą, to znaczy nad własnym talentem. Sztuka to specyficzna dziedzina doświadczenia ludzkiego, która łączy, wymaga obecności innych i rodzi się z tego właśnie wzajemnego obcowania. Człowiek sztuki to człowiek z natury towarzyski. Obcowanie z ludźmi, z ich potrzebami, stanowiącymi wiecznie pulsujące źródło inspiracji, potrzebne jest dla zabezpieczenia ciągłości pokoleń. Dlatego, nie przywiązując wagi do sztucznych podziałów międzypokoleniowych młodzi powinni nawiązywać przede wszystkim do tych tradycji, które stanowią żywą treść współczesności. Pamiętać muszą również, że bardziej twórczy jest ten, kto rozbija zastaną doktrynę, niż ten który ją z nadgorliwością stosuje. W przeciwstawieniu się jałowym oczywistościom kryje się często artystyczna szansa pisarza.

I jeszcze jedno: młodzi poeci powinni się uczyć obcych języków, aby bezpośrednio móc poznawać obcą poezję, aby ją móc przekładać na polski i aby w ten sposób, zespalając zdobycze obce z rodzimymi uniwersalizować twórczość własną, nadawać jej cechy ogólnoludzkie — w myśl postulatu Norwida, że to, co narodowe powinno być nadnarodowe. Zresztą nie ma wybitniejszego poety, który by nie znał kilku obcych języków i nie uprawiał przekładów: Kochanowski przekładał z greki i łaciny, znał włoski i francuski, Mickiewicz znał grekę, łacinę, przekładał z rosyjskiego Puszkina, z francuskiego Woltera, z włoskiego Dantego i Petrarkę, z angielskiego Byrona, Moorea i Szekspira, z niemieckiego Goethego i Schillera, pod koniec życia uczył się tureckiego. A Słowacki, Norwid, Staff, Tuwim — ileż wspaniałych przekładów dokonali i z iluż języków! W przekładzie własnym obcego autora poddajemy próbie własne możliwości twórcze i uzyskujemy praktyczny niejako sprawdzian i miarę swojego talentu. Nie bardzo wyobrażam sobie, ażeby można było współcześnie zostać poetą, nie znając co najmniej dwóch języków obcych, nie mówiąc o bezbłędnym opanowaniu zasad języka macierzystego. Poezję przecież tworzy się z przeżytej osobiście treści, ale wyrażanej jednak tylko i jedynie za pomocą słów.

Notował: MIECZYSŁAW KUCNER

Wacław Nowak — Zachód słońca.

STANISŁAW CZERNIK

Epos o Dawidzie z Sasunu

Piękne reprodukcje staroarmeńskich miniatur zdobią polskie wydanie eposu o Dawidzie z Sasunu. Nie tylko przyciągają uwagę czytelnika bogactwem barw i oryginalną formą ujęć, zaskakuja osobliwością orientalnego egzotyzmu, w którym elementy bizantyjskie, perskie, arabskie, twórczo transponowane, świadczą o złożonej drodze sztuki armeńskiej — sztuki i historii. A niekiedy wywołują, nikłe co prawda, przypomnienia, jak poniżej.

W moich rodzinnych okolicach znałem pewien przydrożny pagórek, na którym, tuż za murami miasteczka, stało kilkanaście głazów nagrobkowych pokrytych napisami w nieznanym języku. Pozostałość cmentarzyka z XVI lub XVII wieku, w bardzo już zaniedbanym stanie, jedyna i smutna pamiątka po starej kolonii ormiańskiej, kwitnącej niegdyś w sąsiednim mieście. Sporo gniazd ormiańskich uchodźców znalazło przytułek na ziemiach polskich, a stolicą tej emigracji był Lwów z siedzibą słynnej metropolii ormiańskiej. To przypomnienie okazało się dobrym punktem wyjścia do zadumy nad losami tego wybitnego i tragicznego narodu.

W ciągu trzech tysięcy lat zawikłanego rozwoju kulturalnego Armeńczycy wykazywali niepospolite skłonności intelektualne i artystyczne, przerywane, niestety, zbyt często, niszczącymi najazdami sąsiadów. Dość przypomnieć, że w czasie gdy Europa pogrążona była w mrokach średniowiecza, Armeńczycy przodowali w zakresie kultury. Jeszcze przed naszą erą studiowali w oryginale i przekładzie dzieła Arystotelesa, wystawiali w swoich teatrach Eurypidesa, tłumaczyli Euklidesa.

Okresy niezależności Armenii były krótkie i rzadkie. Państwo ich od wieków bywało szarpane przez najazdy i podboje Persów, Arabów, Seldżuków, Mongołów, Turków. Niektóre obszary Armenii niszczono tak doszczętnie, że nie pozostawał kamień na kamieniu, a ludność wyrzynano, przesiedlano i prześladowano w niesłychany sposób. Ginęła tysiącletnia kultura, bezcenne biblioteki obracano w popiół. Masowa emigracja do dalszych, bezpieczniejszych krajów wyczerpywała ludność, ale bywał to nieraz jedyny ratunek przed grozą rzezi. Najokrutniejsza i bezprzykładna rzeź Armeńczyków była dziełem Turków w 1915 i 1916 roku. Padło dwa miliony, cała ludność Armenii zachodniej została wycięta w ciągu kilku miesięcy, w tej liczbie kobiety i dzieci. Prawie połowa narodu armeńskiego uległa totalnej eksterminacji. Uratowała się tylko wschodnia część Armenii (niespełna dwa miliony), która stanowi obecnie Armeńską Socjalistyczną Republikę Radziecką.

W dziejach armeńskich spotykamy kilku wybitnych władców, zdobywców i organizatorów. Imiona ich uświetniają historię, ale wyobraźnia ludowa wybrała dla swej epiki symbolicznego herosa, uosobiającego najwyższe właściwości narodowego bohaterstwa, właściwości imaginacyjne, nieosiągalne w rzeczywistości, irracjonalne, nieziemskie i nadludzkie. Bohater tego typu już od dziecka odznacza się niesłychaną siłą fizyczną, rozrywa krępujące go łańcuchy, zgina stulemie drzewa i — co najważniejsze — jest przewidujący i wrażliwy na wszelkie wrogie zakusy. Słowem — Herakles armeński, czuwający nad dobrem ludu, niezawisłością narodową i religijną. Ojcowski miecz-piorun i cudowny koń przyczyniają się do zwycięstw Dawida z Sasunu. Mozaika nadzwyczajności i fantastycznych przygód.

Nie posiadamy polskiego odpowiednika Dawida. Słabym jego echem mógłby być chyba zwielokrotniony Waligóra połączony z Wyrwidębem, gdyby nasza wyobraźnia ludowa nie zatraciła dawnej fantastyki zachowanej jedynie w sugestywnych nazwach.

Epos o Dawidzie z Sasunu rozpowszechnił się w świecie dzięki licznym przekładom. Niektórzy badacze widzą w nim mozaikę wątków i podobieństw od Indii do Skandynawii. Jest to możliwe, ale zapewne najbliższy jest związek tej epiki z mitologią grecką, która już w okresie hellenistycznym wpływała na wyobraźnię Armeńczyków.

Jeżeli chodzi o zbieżności z polskim folklorem, najwięcej spotkać ich można w opowieści o pasterstwie Dawida. Dawid występuje tam jako pomylony, niespełna rozumu, a całość utrzymana jest w tonie groteski ludowej, przypominającej nasze klechdy o głuptasach.

W tym miejscu należy ustosunkować się do znanego wyrażenia Słowackiego, otwierającego rapsod o Królu-Duchu: „Ja, Her Armeńczyk, leżałem na stosie". Z przypisu poety wiadomo, że ów Her Armeńczyk pochodzi z dialogu Platona o państwie (czyli „rzeczypospolitej"), a wzięty został nie z oryginału tylko z francuskiego przekładu. Ale Her, albo Er platoński przedstawiony został jako syn Armeniosa, a Słowacki — wskutek pomyłki, nieuwagi lub po prostu przez przypadek — uczynił go Armeńczykiem i umieścił na Kaukazie. Zagadnienie to wywołało znane komentarze naukowe wyjaśniające błąd poety zależnością od nieprawidłowego zrozumienia tekstu francuskiego. Komentarz pozornie ścisły, ale nie uwzględnia znanych skłonności Słowackiego, który świadomie wprowadzał nie tylko tzw. niegramatyczności, ale również niehistoryczności, celowe anachronizmy, których pełno zwłaszcza w „Królu-Duchu". Nie wydaje się prawdopodobnym, że Słowacki wykształcony klasycznie, tłumaczący Homera z oryginału, nie umiał odróżnić syna Armeniosa od Armeńczyka. Po prostu Słowacki chciał w synu Armeniosa widzieć Armeńczyka z powodów nam nieznanych. Ów Her mówi o sobie (w wierszu 273 rapsodu pierwszego): „Ja, syn wyrżniętych ludów", w czym można się doszukać niewątpliwej aluzji o przeszłości Armeńczyków. Zastanawia osobliwa zbieżność nazw: ojcem Dawida był Mher (Starszy), a synem Dawida — również Mher (Młodszy), obydwaj bohaterscy i pod niebiosa wynoszeni przez epikę ludową. Warto wiedzieć, że ten epos, chociaż literacko opracowany dopiero w 1873 roku, znany był ludowi armeńskiemu od IX wieku, i nie należy wątpić, że wśród trzydziestotysięcznej rzeszy Ormian polskich, bardzo czułych na swoje tradycje kulturalne, mógł i powinien być recytowany przez pieśniarzy ludowych. Nie należy więc wykluczać, że pewne szczegóły z rapsodów o Mherze Starszym i o Mherze Młodszym docierały do wiedzy i wyobraźni poety. Warto by zbadać rodowody Słowackich i Januszkiewiczów, które być może rzuciłyby światło na te sprawy, może też okazałoby się, że i w samym Krzemieńcu lub okolicy przebywali Ormianie. W każdym razie w postaci Hera Armeńczyka z „Króla-Ducha" odczuwamy utajony sentyment Słowackiego.

Czytelnik polski z wdzięcznością przyjmie i przychylnie oceni przekład Igora Sikiryckiego.

Dawid z Sasunu. Epos staroarmeński. Przełożył Igor Sikirycki. Warszawa, „Nasza Księgarnia" 1967.

Szanowny Panie Redaktorze

Gdzieś koło Sieradza mieszka Stanisław KORPA; — ten sam, którego kilkanaście obrazów malowanych na szarym tle — na którym pełno postaci czerwonych, pomarańczowych, rudych, brązowych i żółtych w sieradzkich pasiakach zgrupowanych w rodzajowe sceny pamiętam z foyer Teatru Nowego. Obrazy te jakoś utkwiły mi w pamięci.

I teraz, Panie Redaktorze, chciałby Pan coś wiedzieć o Korpie bliższego, — ale in-

formacji o zamieszkaniu autora nie otrzymałem. Dostałem za to wóz, którym dobrze się jechało i jeszcze milszego kierowcę (tego z rudymi wąsami — równo teraz przyciętymi), z którym jeszcze lepiej się rozmawiało.

A zima w tym roku w sam raz dla nerwicowców i nerwicowych sensatów — gdzie pozornie nic się nie dzieje — ciągła mgła, błoto, deszczu więcej niż śniegu, ciągła kapanina z góry, ciepło raczej niż zimno; — spłachetki brudnego śniegu bielejące na dalekich polach — ciemno, smutno — tak, że nie wiadomo w końcu czy to zima, późna jesień, przedwiośnie, czy jeszcze coś gorszego. I drogi zachlastane ciekłym błotem.

I tak dobrnęliśmy wzajemnie się ochlapując z innymi autami aż do Sieradza — do znajomego Muzeum; — do miłej pani magister Zofii Neumann, której podopiecznym jest Korpa, i która dokładnie podała mi jego adres.

Okazało się, że KORPA mieszka niedaleko Sieradza w stronę Łodzi, we wsi Ruda — a poznać jego obejście można po dużym budynku z szarego żużla, który sam sobie buduje.

Po opuszczeniu głównego zabłoconego traktu, boczna droga zbielała od czystego śniegu i z łatwością trafiliśmy do Korpy, który na razie mieszka w małej klitce, w jednym małym pokoiku z małą sionką.

Zaraz też wyszedł gospodarz tego mieszkania i od razu poznałem, że to sam malarz.

Czy to jego duże, czarne oczy, czy też trójkątna bladawa twarz, czy czarne brwi, czy nos, czy rozmierzwione czarne włosy, — wszystko to jakoś znamionowało człowieka, który może zajmować się takimi rzeczami jak malowanie. I to we wsi, gdzie nie ma żadnych nabywców czy zachęty, prócz Muzeum Sieradzkiego.

Budowa Korpy delikatna, szczupła, drobne ręce — wszystko jakoś od razu mnie do niego przekonało.

Małe, ciasne mieszkanko obwieszone rodzajowymi obrazkami.

Sam Korpa opowiada, że ostatnio malowanie jakoś mniej go interesuje, — i powyciągał mnóstwo świątków nie-świątków — raczej chłopów, baby i całe to wiejskie życie rudzkie rzezane w osinowym drzewie.

— Mówi, że to go bardziej teraz interesuje — że rzeźbienie wydaje mu się bardziej prawdziwe — pełniejsze — że jest bliższe ludzi, wśród których żyje.

Powiedział to bardzo przekonywająco — odkrył dla siebie prawdę, że artysta bez ziemi, na której i dla której pracuje, na której codziennie żyje — która go ukształtowała, bez współżycia z otaczającymi go ludźmi — nie może istnieć.

Nie wiem czy Korpa gdzieś to wyczytał, czy sam na to wpadł — raczej posądzam go o to drugie, bo wygląda na myślącego — ale zabrzmiało to w jego ustach bardzo autentycznie i przekonywająco.

Jakiś czas przyglądaliśmy się stołowi, zastawionemu po brzegi chłopami, babami, zwierzętami i świątkami; — ludźmi z Rudy o źrenicach wyblakłych, podrysowanych czy podcieniowanych ołówkiem tak, jak wyglądają oczy rudzkich chłopów. Dużo tych rzeźb było — nie sposób ich wszystkich opisać — cały las — cały bór drewnianych ludzi, o zamyślonych wielkich głowach.

Do tego stołu podeszło też zaraz dwóch małych synków autora, przyglądając się z równą ciekawością rzeźbom jak my. Kubek w kubek podobnych do swego ojca, o delikatnych trójkątnych twarzyczkach i dużych błękitnych oczach.

Obok na brzeżku ławy przycupnęła siostra żony Korpy — również o delikatnych rysach twarzy i zadumie w oczach; — również delikatna, jak cała rodzina.

Aż dziw, skąd w Rudzie wzięli się tacy ludzie, zdawałoby się, nie z tej rudzkiej ziemi.

Ale cuda widocznie wciąż jeszcze się zdarzają — i tu coś podobnego chyba zaistniało. Korpa mówi, że od chwili, gdy zaczął malować, a teraz rzeźbić, cała robota gospodarska zeszła na daleki plan — interesuje go tylko to, co robi teraz. Chciałby rzeźbić — tylko rzeźbić! I żali się, że z tego żyć przecież nie można — nie utrzyma rodziny z tych nielicznych i mało płatnych zakupów, które uczyniło Muzeum Sieradzkie, lub z rzadkich zakupów Cepelii; — ostatnio przygotowuje się do konkursu, stąd tyle zgromadzonych rzeźb, no może jakąś nagrodę lub zakup dostanie. Ale jak to z konkursami — wielka niewiadoma i mnóstwo nerwów.

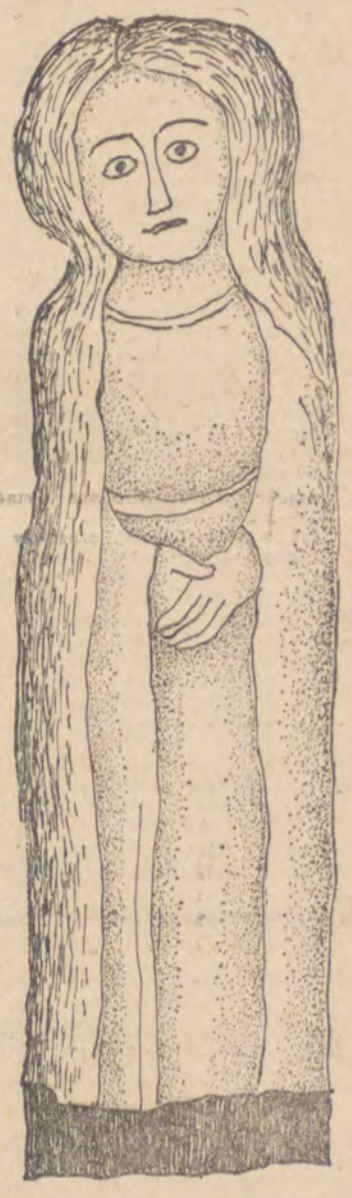

MAGDALENA

Nie chciałbym klasyfikować Korpy — i urzędniczo ustawić go w jakąś szufladkę; robić z niego wielkiego artystę albo nieudolnego amatora. Ale ta jego uporczywa praca, trzymanie się rzeczy, które nie przynoszą mu zysku — przeciwnie — sam do tego dokłada — jakoś podbiło mi serce całkowicie. Bo Korpa robi rzeczy serdeczne, a na to nie ma klasyfikacji. Myślę, że jeszcze tam wrócę i nawiążę z nim bliższą znajomość, bo podoba mi się cała jego rodzina, tak niepodobna do rudzkich chłopów — zupełnie jak z innego wydarzenia.

Gdyby zechciał, chętnie zawarłbym z nim bliższą znajomość.

Łączę wyrazy szacunku

WACŁAW KONDEK

spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Carmen"	1	1276	100
„Zemsta nietoperza"	1	1276	100
„Pan Twardowski"	1	1276	100
„Halka",	1	1276	100
„Rigoletto"	1	1276	100
„Dama Pikowa"	1	1276	100
NOWY			
„Tkacze"	3	2000	100
„Damy i huzary"	2	1400	100
„Trzy białe strzały"	2	1000	75
NOWY — Mała Sala			
„Szklana menażeria",	3	450	75
„Skiz"	2	400	100
JARACZA			
(na scenie „ROZMAITOŚCI")			
„Nie zapomnisz owych dni"	2	1244	100
7.15 —			
„Mordercy stowarzyszeni"	3	1266	100
POWSZECHNY			
„Bereziacy"	1	600	95
„Radziwiłł Panie Kochanku"	2	1320	100
„Klub kawalerów"	2	1320	100
TZŁ			
„Aszantka"	6	1962	100
„Hedda Gabler"	7	1699	89
OPERETKA			
„Niedziela w Rzymie"	6	4508	70
FILHARMONIA			
2 koncerty symfoniczne		850 słuch.	60

KSIĄŻKI NADESŁANE

Janina Hertz — „KRZYŻ NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA", Instytut Wyd. PAX, cena zł 15.—

Luigi Santucci — „DYLIŻANS", Instytut Wyd. PAX, cena zł 30.—

Teodor Parnicki — „KONIEC ZGODY NARODÓW", Instytut Wyd. PAX, cena zł 60.—

Bernard Roussel — „Źródła twórczości Mauriaca", PAX, cena zł 10.—

Brian Moore — „Irlandzkie szczęście", PAX, cena zł 15.—

MARIA KORNATOWSKA

Konfrontacje 67

„WYPADEK" Loseya, „ZABAWA W MASAKRE" Jessua'y i „CHINY SĄ BLISKO" Bellocchia — to jak gdyby filmy kierunkowskazy. Trzy tytuły, trzy próby podjęcia przez kino drażliwej problematyki współczesności. Subtelne rozważania moralne, zawiłe ścieżki kultury masowej i towarzyszącej jej mitologii, groteskowy obraz wielkiej polityki w miniaturze pozwalają ujawnić istnienie świata niepokojącego i groźnego.

Całkowicie odrębną pozycję stanowi natomiast najznakomitszy niewątpliwie film Konfrontacji — „BUNT" japońskiego reżysera Kobayashi, autora znanego u nas „Harakiri". Dziwnym paradoksem losu, film ten wyrosły na gruncie obcej nam kultury, być może niedostępny nawet w pełni naszemu rozumieniu, niesie treści, które przywykliśmy uważać jeszcze do niedawna za najcenniejsze dla naszego pojmowania humanizmu. Wbrew całemu swemu tragizmowi jest to przecież film optymistyczny. Przywraca bowiem pełny wymiar człowieczeństwu. Rzeczy ludzkie: miłość, godność, wolność odzyskują należną im rangę. W „Buncie" jest coś z Conrada i coś z Camusa. Z owej nadludzkiej niemal wierności sobie i innym.

Finałowa sekwencja filmu, w której samotny, walczący z oddziałem wojska Toshiro Mifune, wielokrotnie ranny, padając i podnosząc się, usiłuje za wszelką cenę wrócić do swej wnuczki, należy niewątpliwie do najwybitniejszych i najbardziej dramatycznych osiągnięć współczesnego kina. Najwyższej próby kunszt realizatorski idzie tu w parze z głęboko ludzką, przejmującą treścią. Toshiro Mifune — samuraj niepokonany, okazuje się być samurajem niezłomnym. W obronie honoru swej synowej, w obronie prawa do miłości dwojga młodych wszczyna skazany z góry na klęskę, samotny bunt przeciwko przemocy złego władcy. Podobnie jak w „Harakiri", Kobayashi czyni wierność najcenniejszym i najszlachetniejszym rysem natury ludzkiej, wierność sobie a tym samym wierność innym. Ta dramatyczna opowieść o heroiźmie w najpiękniejszym słowa tego znaczeniu rozgrywa się w chłodnej, geometrycznej, surowej scenerii. Prostota graniczy tu z wyrafinowaniem. Wspaniała forma stanowi jedność z treścią. Tego filmu nie sposób właściwie opowiedzieć, trzeba go zobaczyć. Dopiero w swym niepowtarzalnym kształcie ekranowym nabiera pełnego znaczenia i ekspresji. „Bunt" swą urodą i wiarą w wartości ludzkie ocala w nas cząstkę nadziei, której nie staje w filmach starej Europy.

„WYPADEK" Loseya, twórcy znanego u nas filmu „Za króla i ojczyznę" osnuty jest na błahej w zasadzie historii romansu dwóch angielskich profesorów w średnim wieku, z jedną austriacką studentką. W całą aferę zamieszany został jeszcze student, kolega dziewczyny, a może nawet jej narzeczony. Świetna realizacja czyni z wątłego raczej scenariusza dramat pasjonujący. Losey znakomicie wykorzystuje ograny przecież w filmie zabieg retrospekcji. Wydarzenia i osoby dramatu, z wyjątkiem tytułowego wypadku i finału, widziane są oczyma jednej z postaci, romantycznego profesora granego przez popularnego aktora Dirka Bogarde. Poznajemy tylko strzępy faktów, spostrzeżenia bohatera, które okazują się mylne. Dziewczyna, student, kolega po fachu, czyli profesor nr 2 pojawiają się w filmie na zasadzie sylwetek, twarzy, gestów, fragmentów, wypowiedzi. Nieco sentymentalny, „staroświecki" profesor stwarza własną wizję wydarzeń i osób, która w rezultacie okazuje się fałszywa. Istotę filmu Loseya stanowi skomplikowana gra pozorów, w którą uwikłane zostają wszystkie postacie „Wypadku". Nie sposób dotrzeć do prawdy. Nawet wiedza bohatera o samym sobie okaże się pozorna. Losey bardzo konsekwentnie buduje swój film, operując przede wszystkim kapitalnie prowadzoną kamerą. „Wypadek" jest przykładem filmu, który to co najlepsze zawdzięcza wyłącznie reżyserowi. Można by mówić w tym przypadku o kamerze — stylo, kamerze piszącej. I Losey finezią i subtelnością swej kamery-pióra dorównuje niejednemu pisarzowi wysokiego lotu.

„ZABAWA W MASAKRE" Jessua'y jest filmem równie zabawnym co pouczającym. Opowiada w gruncie rzeczy o tym co się komu w duszy gra. Znudzonemu ułatwionym przez współczesną technikę życiem, milionerowi Bobowi marzą się mordercze przygody i wspaniałe wyczyny supermanów; sympatycznej parze autorów komiksowych powieści marzy się życie dostatnie i spokojne. Dlatego też wymyślają karkołomne perypetie by usatysfakcjonować sfrustrowanego Boba. Całość finansuje obdarzona zdrowym rozsądkiem mama-milionerka.

Jessua z iście wolterowskim sarkazmem odsłania jałowość i prymitywizm współczesnego człowieka, który nie potrafi cieszyć się autentyczną urodą życia w pogoni za jej namiastkami. Komiksowe epopeje supermanów odzwierciedlają z jednej strony marzenia tzw. szarego człowieka, z drugiej zaś określają je i kształtują. Ale film Jessua'y jest nie tylko zabawny i zjadliwy. Tkwi w nim ostrzeżenie. Świat produktów przemysłu kulturalnego uzyskał ogromną władzę nad ludźmi. Nawet Jacqueline, żona autora komiksów daje się złapać we własne sidła, zaczyna wierzyć w zmyślone przez siebie i męża sytuacje, w pseudopoezję tandety. „Zabawa w masakrę" jest filmem bardzo zręcznie zrealizowanym, zgrabnie wykorzystującym barwę i wdzięk dla stworzenia właściwej, komiksowej muzie aury.

„CHINY SĄ BLISKO" włoskiego reżysera Bellocchio są zapewne najsłabszym z wymienionych tu dzieł i zarazem najtrudniejszym w odbiorze z uwagi na podteksty i aluzje polityczne trudne do rozszyfrowania dla ludzi, którzy nie mają szczęścia być mieszkańcami słonecznego półwyspu. Niemniej jest to film interesujący z uwagi chociażby na pasję i zaangażowanie autora przebijające z każdego kadru. Na ogół młode pokolenie twórców stroni od polityki i dlatego też przypadek Bellocchia godzien jest zastanowienia. „Chiny są blisko" to chyba najostrzejszy film polityczny w dziejach kinematografii włoskiej ostatniej doby. Młody reżyser w sposób bezlitosny i szyderczy kompromituje ideologię i praktykę polityczną centrolewu. Film naszpikowany jest złośliwościami wszelkiego rodzaju, nie oszczędza nikogo ani niczego, nie ceni żadnej świętości. Na gruncie włoskim jest to bez wątpienia dużej klasy ewenement intelektualny.

Elżbieta Czyżewska

A może byśmy tak do KINA

■ **Miłośnikom zdrowej sensacji polecamy angielski film reżyserii G. Pollocka „DZIESIĘCIU MAŁYCH INDIAN" oparty na głośnej powieści nieocenionej Agaty Christie. Autorzy filmu zmienili wprawdzie zakończenie, co nie przeszkadza jednak wcale w oglądaniu „Dziesięciu małych Indian" z należytym skupieniem i napięciem. W epoce Bondów i Tygrysów przyjemnie popatrzeć na stateczny, solidny, staroświecki kryminał.**

■ **Amatorzy rozważań nad zagadkami natury ludzkiej winni bezzwłocznie obejrzeć nowy polski film reżyserii Anny Sokołowskiej pt. „ANNA, JULIA, GENOWEFA". Zagadkowe są nie tylko motywy postępowania bohaterki i jej otoczenia, zagadkowe wydają się chwilami także i szlachetne niewątpliwie intencje autorów filmu. Na uwagę zasługuje interesujący debiut aktorski Wandy Neumann, studentki łódzkiej PWSTiF. Nareszcie ciekawa dziewczyna na polskim ekranie!**

Regulamin

III Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji

Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi — Wydział Kultury oraz Związek Literatów Polskich — oddział w Łodzi organizują Ogólnopolski Festiwal Poezji, w ramach którego odbędzie się konkurs literacki oraz nagrodzony zostanie najlepszy tom wierszy i zbiór esejów traktujących o poezji. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w dniu 28 kwietnia 1968 r.

I. CHARAKTER FESTIWALU

1. Festiwal obejmuje konkurs otwarty dla poetów wszystkich pokoleń na niepublikowany utwór poetycki (wiersz, poemat).

2. Podczas trwania festiwalu nagrodzony zostanie najlepszy tom poezji za rok ubiegły oraz najlepszy zbiór esejów traktujących o poezji wydany również w roku ubiegłym.

3. Ponadto zaproszeni uczestnicy festiwalu nagrodzą jeden spośród 3 wytypowanych przez jury utworów nadesłanych na konkurs.

II. NAGRODY

Przewiduje się następujące nagrody:

1. W konkursie na najlepszy utwór poetycki:
Jedna I nagroda — 5.000 zł,
Dwie II nagrody — po 3.000 zł — każda,
Trzy III nagrody — po 2.000 złotych — każda.

2. Za najlepszy tom wierszy oraz za najlepszy tom esejów traktujących o poezji przyznane zostaną nagrody po 10.000 zł — każda.

3. Nagroda zaproszonych uczestników festiwalu za wybrany wiersz w wysokości 3.000 złotych.

Sąd konkursowy zastrzega sobie prawo nieprzyznania względnie innego podziału którejś z nagród przewidzianych za niepublikowany utwór poetycki, tom wierszy lub tom esejów.

III. SĄD KONKURSOWY

O przyznaniu nagród decyduje 15-osobowy Sąd Konkursowy, składający się z wybitnych poetów i krytyków oraz przedstawicieli organizatorów festiwalu. Imienny skład jury zostanie ogłoszony w późniejszym terminie.

IV. WARUNKI NADSYŁANIA UTWORÓW NA KONKURSY POETYCKIE

Utwory poetyckie należy nadsyłać w maszynopisie. Winny one być zaopatrzone w godło autora z oddzielnie dołączoną kopertą, w której znajdować się będzie dokładny adres autora oraz imię i nazwisko.

Utwory należy nadsyłać do dnia 3 kwietnia 1968 r. na adres Wydział Kultury PRN m. Łodzi, ul. Piotrkowska 104.

W przypadkach wątpliwych decyduje data stempla pocztowego. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w dniu 28 kwietnia 1968 r.

Tele-OBIEKTYW

Wóz transmisyjny

Leży przede mną kartka pocztowa przysłana do „Odgłosów" przez inżyniera S.C. (nazwisko i adres znane redakcji) o następującej treści:

„Kochani! Proponuję rozpocząć walkę z Prezesem Sokorskim o transmisyjny wóz TV dla Ośrodka Łódzkiego. Proponuję powołać do tego celu Komitet (Antykomitet d/s Radia i Telewizji). Chętnie wezmę udział w tej walce po stronie Łodzi".

Tyle nasz korespondent. Abstrahując od żartobliwej formy, sprawa jest poważna i nie nowa. Jest jedną z gatunku tych „do załatwienia", wraca od lat na wokandę wobec systematycznego odsuwania jej przez władze Komitetu do Spraw Radia i Telewizji na plan dalszy.

Jeżeli decyduję się poruszyć ją w Tele-obiektywie, to nie chciałbym ograniczyć się do strony interwencyjnej zagadnienia, tę pozostawiając przede wszystkim pismom codziennym. Nie chciałbym również wpędzić się w zwykłe zacietrzewienie, które łatwo rozmija się z rozsądkiem. Jest to zresztą postawa sprzeczna z programowymi zasadami Tele-obiektywu.

Od czego by tu zatem zacząć? Może najpierw odpowiedzmy sobie na pytanie, jaką rolę spełnia w programie TV wóz transmisyjny, czyli telewizyjne studio nadawcze na kółkach. Nie chcę zaczynać od elementarza. Każdemu wiadomo, że wóz daje szansę przeprowadzania reportaży telewizyjnych „na żywo" z różnych miejsc znacznie nawet oddalonych od studia — bazy.

Ma to swoje implikacje natury programowej. O ile bowiem stałe studio telewizyjne stwarza możliwości nadawania najróżniejszych programów inscenizowanych — teatralnych, estradowych, poetyckich, muzycznych, rozrywkowych — jak również pogadanek, wywiadów, dyskusji, quizów itp., o tyle wyklucza bezpośredni styk z życiem tam, gdzie ono się najbujniej krzewi, gdzie pulsuje autonomicznie, nie inscenizowane i nie aranżowane dla celów programu telewizyjnego.

Można cytować wiele przykładów, gdy ludzie pełni energii i inicjatywy, królujący niemal w swoim środowisku, sprowadzeni do studia, przygnieceni atmosferą nieznanego sobie świata, tracą się, zmieniają się w dukających bezradnie nudziarzy, skazanych na łaskę i niełaskę dziennikarzy. Ci sami ludzie, mając w zapleczu własne środowisko, daliby się poznać z o wiele ciekawszej strony.

Niedawno ruchliwy i pełen pomysłów red. Marian Marzyński przeprowadzał reportaż z huty „Julia" w Szklarskiej Porębie, korzystając oczywiście z wozu transmisyjnego. Był to chyba wzorowy program tego typu. Na oczach telewidzów wykonywano tam kryształowy puchar. Praca była niezmiernie trudna. W każdej chwili mogła się zakończyć niepowodzeniem. Ten moment ryzyka wprowadził do reportażu napięcie dramatyczne. Program Marzyńskiego nie miał w sobie nic z nudnego produkcyjniaka, mimo że tematycznie i strukturalnie tkwił w zagadnieniach produkcji.

Innym znakomitym przykładem właściwego zastosowania wozu transmisyjnego są cykliczne turnieje miast, również związane z nazwiskiem Marzyńskiego. Cały smak tych programów polega na jednoczesności relacji z dwóch odległych od siebie miast. Przełączanie się raz w jedno raz w drugie miejsce, bieżące śledzenie narastającej emocji, świadomość, że nie mamy do czynienia z inscenizacją... Stop! Ktoś powie, że Marzyński i Pach spełniają rolę inscenizatorów, podreżyserowują zmagania dwóch miast. Zgoda, ale to inscenizacja nikła, która topnieje w gorączce współzawodnictwa jak śnieg na wiosnę. Ludzkie namiętności pobudzone przez twórców programu rozwijają się dalej żywiołowo. Rzeźbią same kształt widowiska, udzielają się widzom przy telewizorach.

Dałem przykłady optymalnego użytkowania wozu transmisyjnego. I muszę z miejsca stwierdzić, że Telewizja Polska nadaje bardzo mało dobrych reportaży z wozów transmisyjnych. Użytkuje się wozy przy transmisjach sportowych, defiladach, akademiach i innych wydarzeniach okolicznościowych. To oczywiste. Ale nie wypracowano dotąd śmiałego programu włączającego wozy transmisyjne do prezentacji bogatej i różnorodnej problematyki krajowej.

Telewizja nasza posiada w tej chwili bodaj siedem wozów, z czego cztery w ośrodkach regionalnych. Piąty otrzymać ma w tym roku Ośrodek Gdański. Wszystkie wozy podlegają centralnej dyspozycji, czyli że teoretycznie Łódzki Ośrodek Telewizyjny może zapotrzebować wóz dla zaplanowanego programu. Ale to raczej teoria.

W praktyce skoordynowanie potrzeb w tym zakresie z innymi ośrodkami, zwłaszcza z Warszawą, jest niezmiernie trudne. Wizyty wozu transmisyjnego w Łodzi są sporadyczne, rzadkie, uniemożliwiające kadrze pracowników ŁOT wyszkolić się w zakresie wykorzystania programowego tego znakomitego, lecz niełatwego urządzenia.

Perspektywy? Mówił mi o nich zastępca redaktora naczelnego ŁOT Zbigniew Chyliński. Możemy liczyć na własny wóz dopiero po roku 1970. Wozy krajowej produkcji, jakie powstaną do tego czasu są już rozdysponowane. (M. in. przewidziany jest drugi wóz dla Katowic). W dodatku przydział wozu dla Łodzi musi poprzedzić wybudowanie odpowiedniego dlań pomieszczenia. Gdybyśmy dostali wóz transmisyjny, dajmy na to za miesiąc, spadłoby to na ŁOT jak dopust boży. Nie byłoby gdzie garażować, co w wypadku drogiej aparatury jest rzeczą ważną. Nie byłoby również przygotowanej kadry programowej i technicznej.

Z tego widać, że nie wystarczy wykopać tomahawk i wstąpić na ścieżkę wojenną przeciw Prezesowi Sokorskiemu. Z pewnością wiele okazji zostało zaprzepaszczonych. Nie zrobiło się chyba w przeszłości wszystkiego dla przyspieszenia sprawy. Obecnie pozostaje jedynie zespolić wysiłki, by mniej więcej do roku 1970 Łódź była pod każdym względem przygotowana na przyjęcie wozu. I żeby tym razem termin dostawy był ostateczny.

Chciałoby się powiedzieć na ten temat może jeszcze więcej, ale chyba ograniczę się do tych uwag. Jak pisał Prosper Merimée, „do zamkniętej gęby mucha nie wleci". Zamykam gębę.

Władysław Orłowski

P.S. Poletka Tele-obiektywu dzisiaj nie będzie, gdyż cały dzisiejszy felieton, to jakby rozszerzone PTO.
W.O.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Portret anonima z roku ok. 1830

NAIWNE MALARSTWO AMERYKAŃSKIE

■ W paryskim Grand Palais otwarta została wystawa malarzy amerykańskich naiwnych (czy jak kto woli prymitywnych). Obrazy, które zgromadzono w ilości ponad stu, pochodzą głównie z wieku XVIII i XIX. Sztukę tę cechuje brak wykształcenia artystycznego. Masowość tego zjawiska tłumaczy się tym, że ludzie ci zaludniający ogromne przestrzenie dziewiczych nieraz terenów, nie mieli okazji i możności zetknięcia się z artystami wykształconymi. Ci naiwni malarze osiemnastowieczni byli na ogół zawodowcami, którzy przemierzali kraj będąc jednocześnie sprzedawcami towarów lub kaznodziejami. Twarze na malowanych przez nich portretach mają jakiś dziwny wyraz pewnej sztywności, być może godności, są jakby stężałe w rysach, co może tłumaczyć się wpływami surowych obyczajów protestanckich.

W wieku XIX malarstwo naiwnych przechodzi z rąk zawodowców w ręce amatorów, również często anonimowych. Malarze ci pozostawili nam nie tylko wizerunki postaci i twarzy ludzkich, ale uwiecznili na swych płótnach pejzaże lub sceny historyczne. Zachował się m. in. obraz przedstawiający Tadeusza Kościuszkę w Nowym Jorku.

NOWA SZTUKA ARTHURA MILLERA

■ „Nie mogę iść za wymogami mody, nie jestem krawcem" — powiedział Arthur Miller, amerykański dramaturg. Po czterech latach przerwy, pięćdziesięciodwuletni pisarz, autor „Czarownic z Salem" wystawił na Broadwayu swoją nową, dziewiątą sztukę pt. „Cena".

Bohaterami nowego utworu Millera są dwaj bracia, którzy po 16 latach spotykają się w starym rodzinnym domu, pełnym zakurzonych gratów. Dom ma być rozebrany, meble sprzedane przygodnemu kupcowi. W zatęchłej atmosferze starego domostwa odżywają stare urazy. Walter, dziś sławny chirurg opuścił ojczysty dom w roku 1936, kiedy ówczesny kryzys amerykański zrujnował ojca. Jego brat Wiktor, policjant niższej rangi, zrezygnował ze studiów i wszelkiej kariery by zapracować i pomóc finansowo choremu i zrujnowanemu ojcu. „Lodówka była pusta, ten człowiek siedział tu z otwartymi ustami" — opowiada Wiktor, który poświęcił swoją przyszłość dla ojca. „Ty zlekceważyłeś poczucie obowiązku" — mówi do brata chirurga. Ale tamten oznajmia Wiktorowi gorzką prawdę. Poświęcenie brata nie było wcale konieczne. Ojciec nie był ani chory, ani zrujnowany. Potrafił uratować cztery tysiące dolarów. Więc Walter proponuje teraz, po latach, wynagrodzić bratu jego poświęcenie. Da mu pieniądze i postara się o lepszą pracę. Ale Wiktor nie przyjmuje ani jednego, ani drugiego. Odchodzi bez pożegnania.

Arthur Miller widzi w „Cenie" niejako kontynuację problematyki jednej ze swych poprzednich sztuk pt. „Death a Salesman" (Śmierć komiwojażera), w której również poruszył zagadnienie poczucia obowiązku. „Poczucie obowiązku — mówi Miller — jest jak miłość. I jedynie ono chroni świat

Arthur Miller

przed ruiną, przemocą, nihilizmem".

Miller, jak wiadomo był mężem słynnej aktorki Marylin Monroe, zmarłej w roku 1962. W tymże roku Arthur Miller ożenił się z austriacką fotografką Inge Morath, która jest jego trzecią żoną. Dramaturg mieszka w swym domu w wiejskiej posiadłości w stanie Connecticut.

Wystawienie premiery „Ceny" nie odbyło się bez przeszkód. W czasie prób zachorował jeden z aktorów, a na dziesięć dni przed premierą Miller zerwał z reżyserem sztuki, który według zdania dramaturga wyreżyserował ją ze zbytnim naturalizmem.

WYSTAWA SZTUKI KINETYCZNEJ W HAWRZE

■ Wystawa sztuki kinetycznej w Hawrze stanowi ciekawe eksperymenty połączenia światła z ruchem. Łączenie elementów światła i ruchu, tak istotnych dla współczesnego życia można uważać za kontynuację dokonywanych niegdyś, z więk-

Rzeźba świetlna

szym lub mniejszym powodzeniem, prób rozmaitych artystów. I tak np. matematyk Castel w osiemnastym wieku sporządził organy specjalnego typu. Gdy naciskało się klawisze to równocześnie z muzyką pojawiały się przezroczyste, kolorowe obrazy. Zasady stosowania światła i ruchu można się też dopatrywać w teatrze chińskich cieni, w tańcach z szalami, które unieśmiertelnił na swych obrazach Toulouse-Lautrec, w balecie rosyjskim Diagilewa. Węgier Moholy Nagy eksperymentował komponując rzeźby w kształcie spirali i przezroczystych, świetlistych płaszczyzn. Futuryści i Marcel Duchamp ze swymi dziełami takimi jak „Roue de bicyclette" i „Roto reliefs" (kartonowe o barwnych deseniach obracające się dyski) wykorzystywali ruch w swoich dziełach. Fernard Léger stworzył pierwszy film bez scenariusza „Ballet mécanique", w którym poruszały się przedmioty, które z natury swej rzeczy są nieruchome. Za naszych dni sztuka kinetyczna wciąż się udoskonala i rozwija, wykorzystując coraz bardziej technikę.

W wystawie w Hawrze wzięło udział trzydziestu artystów z różnych krajów.

ZMARŁ MAURICE ROSTAND

■ W wieku lat 76 zmarł we Francji pisarz Maurice Rostand, syn sławnego Edmunda Rostanda, autora znanej na całym świecie sztuki pt. „Cyrano de Bergerac".

Maurice Rostand przez wiele lat był popularną postacią w Paryżu. Nosił długie włosy, w czasach gdy nie było to jeszcze w modzie, uchodził za znawcę teatru, estetę i eleganta. Pisywał sztuki teatralne, opowiadania i powieści. Widywano go zazwyczaj w towarzystwie matki, wdowy po Edmundzie Rostand, poetki podpisującej swoje utwory panieńskim nazwiskiem Rosemonde Gérard.

Do najbardziej znanych sztuk Maurice'a Rostanda należą m. in. „La Gloire" (główną rolę grała słynna Sarah Bernhardt), „Proces Oscara Wilde'a", „Madame Récamier". W roku 1953 Maurice traci swą matkę, ciężko choruje i przestaje pisać.

CHRISTO BOTEW NA EKRANIE

■ Bułgarski reżyser N. Korabow przygotowuje film, którego bohaterem będzie wybitny działacz rewolucyjny, poeta i publicysta bułgarski Christo Botew (1849 — 1876). Scenariusz napisany przez Wasila Popowa zawiera w zasadzie krótki odcinek czasowy, bo tylko ostatnie pięć dni życia poety, ale ukazuje szerokie tło działalności rewolucyjnej i pisarskiej Botewa.

BIBLIOTEKA IM. ALEKSANDRA I HERCENA

■ W mieście Kirowie (dawniejsza Wiatka) w bibliotece publicznej im. Aleksandra Hercena odbyła się niedawno uroczystość jubileuszowa w 130-letnią rocznicę założenia biblioteki. Aleksander I. Hercen był właśnie jej organizatorem. Przed 130 laty wygłosił przemówienie przy otwarciu biblioteki, podkreślając wielkie znaczenie książki w życiu człowieka, społeczeństw, narodów.

Utalentowany pisarz Aleksander Hercen został zesłany do Wiatki, gdzie zmuszono go do pracy w charakterze pisarza - kancelisty w biurze miejscowego gubernatora. „Kancelaria była nieporównanie gorsza od więzienia" — wspominał potem Hercen w swym dziele pt. „Rzeczy minione i rozmyślania".

Aby nie upaść na duchu, Hercen zajął się w Wiatce m. in. zorganizowaniem pierwszej w tym mieście publicznej biblioteki. Zgromadził ponad tysiąc tomów. Wiele książek pochodziło z jego własnej biblioteki. W roku 1837 Hercen wyjechał z Wiatki, ale miłośnicy jego talentu nadsyłali do biblioteki przez niego założonej, cenne egzemplarze książek.

KTO POSŁUŻYŁ ZA MODEL POSTACI MOLLY BLOOM

■ Według czasopisma „Life" wzorem i modelem postaci Molly Bloom w powieści James Joyce'a „Ulisses" była Włoszka z Triestu, Amalia Popper. W jaki sposób dokonano tego odkrycia? Otóż w roku 1959 Richard Ellman opublikował biografię Joyce'a, w której krótkotko wspomniał o jakiejś Włoszce, która znał James Joyce. Badacze zainteresowali się tą wzmianką i podjęli szczegółowe badania, w wyniku których ustalono, że w latach 1907-1908 w Trieście mieszkali Popperowie, u których bywał Joyce i dawał ich córce Amalii lekcje angielskiego. W domu Popperów śpiewał też pieśni irlandzkie, a Amalia akompaniowała mu na skrzypcach. Czy pisarz kochał się w pięknej Włoszce? Jeśli tak, to miłość ta pozostała platoniczna, gdyż Joyce nigdy nie zostawał z Amalią sam na sam, nawet podczas lekcji angielskiego.

Przedsiębiorstwo, w którym pracował ojciec Amalii miało nazwę firmową „Popper i Blum" (lub Brum), z czego to Joyce urobił nazwę dla swego bohatera w „Ulissesie": Bloom.

Co się następnie stało z tą muzą Joyce'a? Wiadomo, że umarła w zeszłym roku, w wieku lat siedemdziesięciu sześciu we Florencji, jako żona profesora Risolo. Do Joyce'a pisała tylko raz prosząc go o pozwolenie tłumaczenia dzieła Joyce'a pt. „Dubliners".

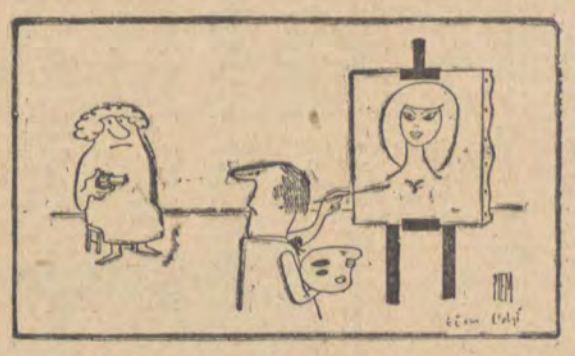

Bez strachu

ŻYCZLIWI I ZDENERWOWANI

Kiedyś zachorowałem ciężko i niebezpiecznie — po kilku dniach dotarła do mnie kartka od życzliwych ludzi. „Jak tak można..." pisali życzliwi. „Słyszymy z różnych stron o twojej chorobie, a brak nam dokładnych wiadomości od ciebie. Co ci właściwie dolega — jesteśmy bardzo zdenerwowani". Otarłem pot z czoła i poczułem się przez moment szczęśliwy — oto gdzieś są życzliwi, którym mój los naprawdę nie jest obojętny. Już po kilku minutach okupiłem moment szczęścia stanem udręki. Przecież Oni-życzliwi gdzieś się tam z mojego powodu denerwują — cierpią przeze mnie — jak usunąć ich cierpienie. Moja choroba jest winą, winą, którą mogę naprawić w jeden tylko sposób — mianowicie, muszę wyzdrowieć. Ale przecież jestem chory ciężko i jak się rzekło niebezpiecznie. Nie jestem w stanie mojej choroby zlikwidować. W dodatku sprawa powikłała się paskudnie przez wiadomość o zdenerwowaniu życzliwych i to moje zdenerwowanie jest nową chorobą, a zarazem wybornie pogłębia pierwszą chorobę. Tak więc życzliwi szkodzą sobie i mnie, a ja zupełnie nie wiem, jak tej biedzie zaradzić. Postępowałem niezręcznie, niesłusznie — pamiętam zdenerwowane głosy życzliwych korygujących moje błędy. To ja niewłaściwie chodziłem ulicą, to ja zaniedbywałem ćwiczeń fizycznych, to ja psułem swoje stosunki z ludźmi potężnymi, to ja nie umiałem zarabiać pieniędzy, obrałem niewłaściwy kierunek studiów i zawód. Pewnego dnia usiadłem i przez wiele godzin przypominając sobie nerwowe rady życzliwych próbowałem podsumować te wieloletnie wskazania — myślałem o tym jakim być powinienem, gdybym posłuchał Życzliwych. Oto próba mojego portretu. Dzięki uprawianiu licznych sportów mam siłę i budowę atlety, w żadnej jednak dziedzinie nie jestem rekordzistą, gdyż celem moim jest zarabianie pieniędzy. Aby najsprawniej zarabiać zostałem po uzyskaniu należytych kwalifikacji naukowych, hodowcą świń. Czasem błyskawicznie odbiegam na boisko i dokonuję kilka zadziwiających skoków o tyczce dla podtrzymania hartu psychofizycznego. Wracając, pędem do pracy zatrzymuję się obok łobuzujących malców i udzielam im rozumnych wskazań. Raz dziennie lecę na miasto i wspieram starców i ludzi chorych, unikając jednak filantropii. Wracam do mieszkania, gdzie spożywam surową rzepę z razowym chlebem — przed snem wypijam szklankę wody z kranu i kładę się przy otwartych oknach na łóżku z prostych sosnowych desek. Rano wylewam na siebie konewkę zimnej wody — dokładnie żując, zjadam kilka ziemniaków i biegnę od czasu do czasu podskakując do mojej trzody. W czasie biegu czytam Szekspira lub Augusta Comta. Pewnego dnia pod wpływem hinduizmu przeciwstawiam się zabijaniu świń i bronię je przed rzeźnikami batem. Pozbawiają mnie stanowiska. Przez pewien czas można mnie jeszcze oglądać przebiegającego miasto w gumowych butach. Dostrzegam, że ci, którym pomagałem, nienawidzą mnie upokorzeni pomocą — szukam pociechy w dziełach, którymi karmiłem swój umysł — stwierdzam że August Comte był paranoikiem, a Szekspir pederasta — trudno mi znaleźć w nich pociechę i oparcie moralne. Moja doskonale ukształtowana osobowość rozpada się w zderzeniu z niedoskonałą rzeczywistością. Uznają mnie za szaleńca; bezskutecznie leczą, umieram — nad grobem moim skupiają się w wielkiej liczbie życzliwi. „Umarł" mówią życzliwi. Jak mógł to zrobić, jak mógł nas tak bardzo zdenerwować.

BERNARD SZTAJNERT

Opowieść o Kopciuszku naszych czasów

Była chudziutką mizerną dziewczynką, przez koleżanki przezwaną złośliwie patykiem. Chodziła do szkoły, ale w soboty, dni wolne od zajęć szkolnych, pracowała w zakładzie fryzjerskim. Pewnego razu poznała tam Justina de Villeneuve, który przyszedł do swego brata, zatrudnionego w tym salonie jako fryzjer.

Oczywiście arystokratycznie brzmiące nazwisko Justin de Villeneuve nie było prawdziwym nazwiskiem owego młodzieńca. Brzmiało ono o wiele skromniej — Nigel Davies, a zmienił je, kiedy porzucił swój dotychczasowy fach fryzjerski dla modnej wówczas dekoracji wnętrz. Ale i w tym zawodzie nie było mu danym dorobić się. Całymi dniami uganiał się za jakimiś drobiazgami dla swej wymagającej ale skromnie płacącej klienteli. Ubrany był zawsze modnie i elegancko, ale nie rzadko nie miał grosza przy duszy.

W tym okresie poznał małą Twiggy, która wkrótce została jego przyjaciółką. Liczyła sobie wówczas lat 15. De Villeneuve porzucił już wówczas dekorację wnętrz i założył sobie stragan na targu antyków w Chelsea. Jego marzeniem stało się posiadanie własnego skromnego sklepiku. Jego mała przyjaciółka, którą w odróżnieniu od złośliwych koleżanek nazwał Twig-Gałązka, z czego powstała Twiggy, miała jeszcze jedno pragnienie, chciała zostać covergirl, czyli dziewczyną z okładek. De Villeneuve osądził, że nie jest to najgorszy pomysł. Postanowił zatem sam pokierować jej karierą. Zaprowadził ją do swego kolegi, modnego londyńskiego fryzjera Leonarda. Leonard obciął jej piękne, długie włosy. Zdjęcie krótko ostrzyżonej Twiggy, które sam kazał zrobić, umieścił w swoim oknie wystawowym. Zdjęcie zwróciło uwagę redaktorki działu mody w popularnym dzienniku „Daily Express", w którym ukazała się reprodukcja tej fotografii z nagłówkiem „Nowa twarz 1966 roku".

Od tej chwili zaczęła rosnąć popularność Twiggy. Stała się ona ideałem i wzorem do naśladowania dla nastolatków. Jesienią 1966 roku nasza para udała się do Paryża, gdzie Twiggy miała występować jako modelka na pokazach kolekcji domów mody. Tam zwróciła uwagę na Twiggy p. Helena Gordon-Lazareff, redaktorka pisma „Elle", trafnie oceniła jej możliwości i wyjątkowe walory jako modelki. Fotografia Twiggy ukazywała się na okładkach szeregu kolejnych numerów „Elle". Od tej chwili Twiggy stała się sławną w całej Europie. Sytuacja finansowa Twiggy i jej przyjaciela a zarazem managera zaczęła się poprawiać. Twiggy otrzymała zaproszenie do New Yorku, lecz de Villeneuve uważał, że jest jeszcze na to za wcześnie. Ale wreszcie nadeszła odpowiednia pora. Lansowaniem Twiggy w ojczyźnie dolara zajęła się agencja Barbary Thorbahn. W owym czasie interesy młodej pary stały dość kiepsko. Ostatnie prawie pieniądze poszły na bilety lotnicze z Londynu do Nowego Jorku.

Pobyt w Nowym Jorku stał się wielkim sukcesem Twiggy. Popularność jej wielka w Europie wzrosła jeszcze niepomiernie za oceanem. Twiggy stała się sztandarową postacią dla młodzieży na obu półkulach. Wraz z popularnością rosły dochody. Sama tylko firma Yardley za wykorzystanie jej podobizny do opakowań i reklamy swoich wyrobów płaciła ogromne sumy. De Villeneuve mógł powiedzieć o sobie, że mając teraz lat 28 jest człowiekiem bogatym, zaś w wieku lat 30 będzie milionerem. Siedemnastoletnia obecnie Twiggy ma zapewniony dobrobyt do końca życia.

W Nowym Jorku Twiggy pozowała fotografikowi artyście, Ryszardowi Avedon, który robił zdjęcia dla „Vogue". Avedon potrafił wydobyć z Twiggy jej właściwą osobowość i uchwycić typ i wyraz, który stał się objawieniem nowoczesnej dziewczyny. Twiggy posiadała zresztą niezwykły talent do pozowania. Szybko dorównała znanym i doświadczonym modelkom, co zdumiewało Avedona. Pozowanie dla pism nie jest rzeczą łatwą. Poprzedzają je wielogodzinne, żmudne, przygotowania, charakteryzacja i makijaż. Posiadając wrodzony dar pozowania, Twiggy czuła się zupełnie swobodnie przed kamerą, a najlepsze jej zdjęcia są te, przy których zachowywała się najnaturalniej.

De Villeneuve i Twiggy spędzili w Stanach Zjednoczonych około 7 tygodni. W Kalifornii obejrzeli model lalki wyobrażającej Twiggy. Lalka ta ma być produkowana na podstawie licencji. Oprócz lalki zaprojektowano szereg drobiazgów dziecięcych jak Twiggy mini-woreczki, Twiggy szkatułka na biżuterię, fotografie i perfumy zamykane na kluczyk, wreszcie modne torebki Twiggy. Fabrykant spodziewał się, że w ciągu 2 lat hurtowa sprzedaż tych drobiazgów przyniesie mu między 40 a 100 milionami dolarów zysku, drugie tyle da sprzedaż detaliczna. Oznacza to, że tantiemy dla Twiggy i jej managera z tego tytułu wyniosą w tym samym czasie nie mniej niż milion dolarów, a może nawet dojdą do 3 milionów.

Oprócz tego umowa z firmą Yardley zapewniła im minimalny zysk w wysokości 200 000 dolarów w ciągu 5 lat, jednakże można się spodziewać, że tantiemy z tej firmy osiągną w ciągu 5 lat trwania umowy około miliona. Oprócz tego olbrzymie zyski w postaci tantiem przyniosła sprzedaż sukien według modelu Twiggy, które zostały rozchwytane w Nowym Jorku w ciągu 5 dni. Niemałą sumę również osiągnęła Twiggy jako model do zdjęć fotograficznych.

W ten sposób rezultaty wyprawy do Ameryki przerosły nadzieje de Villeneuve'a i jego pupilki. Umożliwiły im nabycie najnowocześniejszych samochodów, posiadłości wiejskiej, zapewniły wszelkie luksusy, jakie dać może wszechmocny pieniądz. Mimo to, de Villeneuve nie chce na tym poprzestać. Jego zdaniem nie wolno stać w miejscu bo to oznacza przegraną, należy stale dążyć naprzód. Obecnie myśli o założeniu własnej wytwórni filmowej. Zapytany przez reportera jak sobie wyobraża przyszłość Twiggy, odpowiedział, że będzie miała swój dom, dobrobyt i będzie w dalszym ciągu czołową modelką i jako taka przejdzie do historii.

„Przypuszczam jednak, że z czasem, drogi nasze rozejdą się, ona pójdzie swoją, a ja swoją" — powiedział reporterowi, któremu zwierzał się ze swoich planów. Cóż, historia Kopciuszka choć z pewnymi wariantami powtarza się i w naszej epoce, jednakże królewicze już nie tacy sami.

Tymczasem mit Twiggy trwa.

GEORGES SIMENON

Krople STEARYNY

Maigret wszedł nie pukając do pokoju, w którym było zupełnie ciemno i tylko polana płonące na kominku oświetlały wszystko dokoła. W tym słabym świetle inspektor dojrzał szerokie łóżko z mnóstwem materacy i z nadmuchaną jak kula czerwoną pierzyną; na łóżku leżała nieruchomo starsza kobieta z zastygłą bladą twarzą, w której jedynie oczy dawały znak życia.

— W dalszym ciągu nie mówi? — spytał Marie Lacore, żona tutejszego kowala.

W odpowiedzi kobieta przecząco pokiwała głową. Inspektor wzruszył ramionami, usiadł na słomkowym krześle i wyciągnął z kieszeni papiery.

W samym wydarzeniu, które zaszło pięć dni temu, nie było nic sensacyjnego. Siostry Potrie, mieszkające w tym domku, miały, jak powiadają ludzie, jakieś oszczędności. Należały jeszcze do nich trzy domy w tej wiosce, a one znane były od dawna ze swojego skąpstwa.

Nocą z piątku na sobotę sąsiedzi słyszeli jakiś hałas, który jednak nie zakłócił spokoju. O świcie w sobotę przejeżdżający obok domu chłop, zobaczywszy otwarte okno sypialni, zajrzał do środka i zaalarmował ludzi.

Koło okna w nocnej koszuli leżała Amelia Potrie w kałuży krwi. Na łóżku, twarzą do ściany, zamarła w bezruchu jej siostra Margarit. Była martwa, a na piersi miała trzy rany zadane nożem, prawy policzek był rozcięty i oko częściowo naruszone.

Amelia została przy życiu. Próbowała zawezwać pomoc i otworzyła okno, ale upadła i straciła przytomność wskutek utraty krwi. Na jej ciele było jedenaście niezbyt głębokich ran, prawie wszystkie na ramieniu i na prawym boku, ale tylko jedna okazała się dość poważna.

Druga szuflada komody była wyciągnięta, bielizna porozrzucana, a na wierzchu leżała stara, pozieleniała ze starości teczka, w której siostry prawdopodobnie chowały wszystkie dokumenty. Na podłodze poniewierała się książeczka oszczędnościowa, akty kupna, umowy dzierżawcze i rachunki dostawców.

Orleańska policja już rozpoczęła śledztwo. A Maigret miał nie tylko dokładny plan budynku, lecz również i fotografie wraz z protokółem badań.

Nieboszczkę Margaritę pochowano trzy dni temu. Zamierzano wysłać Amelię do szpitala, lecz ona się temu zdecydowanie sprzeciwiła, wczepiwszy się paznokciami w prześcieradło prosiła błagalnym wzrokiem, aby zostawiono ją w domu.

Ekspert z wydziału medycyny sądowej twierdził, że żaden z jej wewnętrznych narządów nie jest uszkodzony, a to że nie może mówić — tłumaczył działaniem szoku nerwowego. Tak czy inaczej, w ciągu tych pięciu dni Amelia nie wydała z siebie ani jednego dźwięku.

Ale mimo swojej nieruchliwości i krępujących ją bandaży — uważnie przyglądała się wszystkiemu, co działo się wokół niej. Teraz nie spuszczała z oczu Maigreta.

W trzy godziny po zakończeniu dochodzenia przez orleańską prokuraturę, został aresztowany ten, kogo poszlaki wskazywały jako mordercę. To był Marcel, nieślubny syn zmarłej. W wieku dwudziestu trzech lat Margarita Potrie wydała na świat syna, który teraz miał trzydzieści dziewięć lat. Przez pewien czas służył on u księcia jako woźnica, a potem został drwalem i mieszkał w napoły rozwalonej farmie w odległości dziesięciu kilometrów stąd, koło Stawu Powieszonego Wilka.

Maigret odwiedził go w więzieniu. Był to ordynarny prostak w pełnym tego słowa znaczeniu. Często całymi tygodniami nie przychodził do żony i do dzieci, które najczęściej obdarowywał kuksańcami. Oprócz tego był on pijakiem, i chyba brakowało mu piątej klepki.

— Przyjechałem na rowerze około siódmej wieczorem — mówił Marcel — kiedy baby siadały do stołu. Wypiłem szklaneczkę przy bufecie, a potem wyszedłem na dwór zarżnąłem królika i zdarłem skórę, a matka go upiekła. Ciotka jak zawsze gderała, nie mogła na mnie patrzeć...

Miejscowi mieszkańcy twierdzili, że Marcel rzeczywiście miał taki zwyczaj pojawiać się nagle u matki i u ciotki i urządzać sobie ucztę; matka nie miała odwagi w czymkolwiek mu odmówić, a ciotka bała się go.

— Znowu się pokłóciły, kiedy wziąłem kawałek sera w sklepie...

— Jakie wino pan pił? — spytał Maigret.

— To, które stoi w sklepie.

— Czym pan oświetlał pokój?

— Lampą naftową... Po kolacji matka, która ciągle była chora, położyła się i poprosiła mnie abym wyciągnął jej papiery z drugiej szuflady komody. Dała mi klucz. Przyniosłem papiery i odliczyliśmy sumę na podatek, jako że zbliżał się koniec miesiąca.

— Co jeszcze było w tej teczce?

— Akty kupna, umowy o dzierżawę i akcje — wielki plik, na trzydzieści tysięcy albo i więcej...

— Pan wchodził do spiżarni? Zapalał pan świecę?

— Nie... O pół do dziesiątej włożyłem wszystkie papiery z powrotem do skrzyni... Jeśli panu nagadają, że to ja wykończyłem starą, niech pan nie wierzy, to kłamstwo. Niech pan lepiej zapyta Hugo...

Ku wielkiemu zdumieniu adwokata Marcela, Maigret więcej o nic nie pytał.

A co się tyczy Jarko, albo, jak go tu nazywali, Hugo, jako że pochodził z Jugosławii, to był on człowiekiem zupełnie innego rodzaju. Trafił w te okolice po wojnie i osiadł tu na stałe. Mieszkał sam w domu w pobliżu sióstr Potrie i pracował jako furman w lesie.

Podobnie jak Marcel i on też był pijakiem, ale ostatnimi czasy siostry Potrie nie dawały mu więcej wina na kredyt, bo zbyt wielkie miał u nich długi. Kiedyś nawet poprosiły Marcela aby wyrzucił Hugo za drzwi, a on przy tej czynności rozwalił mu nos.

Siostry Potrie nienawidziły Hugo jeszcze dlatego, że kiedyś dały mu w arendę starą stajnię stojącą w głębi podwórza, gdzie Hugo trzymał konie, ale pieniędzy nie płacił. Teraz, oczywiście, woził polana w lesie.

Rozmyślając nad tym wszystkim Maigret podszedł z papierami w ręku do kominka, gdzie nazajutrz po dokonanym zabójstwie był znaleziony w stosie popiołu wielki kuchenny nóż z opalona rękojeścią. Prawdopodobnie było to narzędzie zbrodni, lecz ogień zniszczył odciski palców.

Ale za to na szufladzie komody i na skórzanej teczce było mnóstwo odcisków palców Marcela — i tylko jego!

Na lichtarzu, który stał na stole, odszukano odciski palców jedynie Amelii Potrie, która cały czas nie spuszczała z Maigreta zimnego spojrzenia.

— Widzę, że pani ma zamiar milczeć do końca? — powiedział zrzędzącym tonem i zapalił fajkę.

Pochylił się i zaznaczył kredą na podłodze ślady krwi, jakie miał naniesione na swój plan.

— Czy będzie pan tu jeszcze przez kilka minut? — spytała Maria Lacore. — Pobiegnę do domu i nastawię obiad.

Inspektor został w domu sam ze starą. Był tu po raz pierwszy, ale przedtem stracił całą dobę na zbadanie wszystkich dokumentów dotyczących tej sprawy. Policja orleańska z takim oddaniem przygotowała wstępne badania, że Maigret nie natknął się na żadną niespodziankę, jedynie samo miejsce sprawiło na nim bardziej przygnębiające wrażenie niż sam się tego spodziewał.

A przecież inspektor urodził się na wsi w chłopskiej rodzinie. Wiedział, że jeszcze nawet teraz w pewnych zapomnianych wioskach zachowany został taki sam sposób życia, jak w trzynastym albo czternastym wieku. I jednak, gdy niespodziewanie znalazł się w tej wiosce zagubionej wśród lasów, w tym domu, w tym pokoju, koło tej rannej starej kobiety o czujnym spojrzeniu, poczuł się tak przygnębiony, jak w czasie odwiedzin w szpitalu albo w przytułku — to znaczy tych miejsc, gdzie ukrywane są ludzkie dolegliwości i ludzka brzydota.

Jeszcze w Paryżu podczas studiowania materiałów śledztwa Maigret na marginesie raportu napisał:

1. Dlaczego Marcel spalił nóż, a nie zatarł odcisków palców na komodzie i na teczce?

2. Dlaczego, jeśli używał świecy, przyniósł ją z powrotem i zgasił?

3. Dlaczego krwawe ślady nie prowadzą wprost od łóżka do okna?

4. Dlaczego Marcel nie bał się zdemaskowania i wyszedł o pół do dziesiątej przez sklep na ulicę, a nie skorzystał z tylnego wejścia?

Ale jednocześnie był pewien szczegół, przez który nie mogła przebrnąć obrona Marcela: w łóżku sióstr znaleziono guzik od kurtki Marcela, starej myśliwskiej kurtki z welwetu z grawerowanymi guzikami.

— Zaczepiłem się o coś i urwał mi się guzik, kiedy patroszyłem królika — zapewniał Marcel.

Przeczytawszy swoje notatki Maigret wstał i spojrzał na Amelię z dziwnym uśmiechem: zaczynie się na pewno złościć, że nie będzie mogła go śledzić swym wzrokiem! Pchnął drzwi mrocznej spiżarni, gdzie światło ledwie się przedzierało przez maleńkie okienko, a z lewej strony przy ścianie stały beczki.

W dwóch było wino — w jednej czerwone, w drugiej białe. Dwie pozostałe były puste, a na jednej z nich eksperci kryminalistyki wykryli krople stearyny ze świecy stojącej w pokoju.

Komisarz orleańskiej policji donosił w swoim raporcie: „Bardzo możliwe, że ślady zostawił Marcel, gdy wszedł do spiżarni aby napić się wina... Według zeznania jego żony, wrócił do domu zupełnie pijany. Zygzakowate ślady jego roweru potwierdzają jej słowa".

Maigret popatrzył na spiżarnię i nie znalazłszy tego, czego szukał, wrócił do pokoju, otworzył okno i zobaczył na placu tylko dwóch chłopców obserwujących dom.

— Słuchaj, mały, możesz mi przynieść piłę?

— Zwykłą czy do drzewa?

Cały czas czuł za sobą bezkrwistą twarz i spojrzenie wciąż

Krzysztof Jabłoński. — Mężczyzna w pociągu.

śledzące każdy jego ruch. Chłopiec przyniósł dwie piły różnych rozmiarów. W tym czasie wróciła Maria Lacore.

— Nie zatrzymałam pana? Zostawiłam chłopca w domu. A teraz powinnam umyć chorą.

— Proszę poczekać jeszcze chwilę.

— Dobrze, na razie zagrzeję wodę.

A niech to! Maigret wolał nie być przy tym. Wystarczyło mu tego co wiedział. Znowu wszedł do spiżarni i wsunawszy piłę do otworu beczki ze śladami stearyny, zabrał się do dzieła.

Wiedział co tam znajdzie. Był tego pewien. Jeżeli jeszcze rano mógł mieć jakieś wątpliwości, to teraz sama atmosfera domu przekonała Maigreta co do prawdziwości jego domysłów. I Amelia Potrie była taka jak przypuszczał.

Tak, tutaj nawet ściany wydzielały nie tylko skąpstwo, ale i nienawiść. Margarita urodziła syna, poznała smak miłości, a starsza siostra nawet takiej radości nie doświadczyła! Do piętnastego, albo nawet do dwudziestego roku życia chłopiec był na utrzymaniu sióstr, a i później często bywał ich gościem, pił u nich, brał pieniądze...

A przecież te pieniądze były własnością nie tylko Margarity, lecz i Amelii! I nawet bardziej należały one do Amelii, bowiem była ona starsza i zdążyła w te oszczędności włożyć więcej pracy!

Nienawiść tę rozpalały setki drobnych codziennych zdarzeń: królik zabity dla Marcela, albo ser przeznaczony na sprzedaż, z którego on bezwstydnie odkroił sobie kawałek, a matka nic mu nawet nie powiedziała...

Tak, Amelia czytała gazety i prawdopodobnie wiedziała, jakie znaczenie mogą mieć w czasie śledztwa odciski palców!

A rany Amelii, wszystkie na prawym boku, były podejrzanie płytkie i na nie najpierw zwrócił uwagę Maigret. Wyobraził sobie, z jaką trudnością to zrobiła, jak bardzo bała się bólu... Nie chciała umierać, nie chciała cierpieć, zbyt długo, dlatego otworzyła okno i zaczęła krzyczeć...

Zabiła śpiącą siostrę, a potem wszystkie wartościowe papiery wyjęła z teczki, by tym samym rzucić podejrzenie na Marcela. Zrobiła to chytrze, bo owinęła rękę szmatą, aby nie zostawić odcisków palców. Rzuciła nóż do ognia, a przedtem jeszcze zraniła siebie.

Ze świecą w ręku przyszła tu, by schować już tylko swoje skarby...

Maigret kończył piłowanie, gdy usłyszał za sobą jakieś głosy i szamotanie się. Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Amelia Potrie cała obandażowana... Wzrok jej był nieruchomy.

Maigret milczał. Nawet nie czuł zadowolenia, gdy wreszcie beczka rozpadła się na dwie części, a wewnątrz zobaczył ukrytą wiązkę papierów wartościowych, które wsunięto tu przez otwór.

Chciał stąd odejść natychmiast, i jak Marcel, łyknąć trochę wina.

Amelia stała wciąż w milczeniu. Usta miała otwarte. Za nią stała Maria, żona kowala.

A była to scena jak gdyby z innej epoki, z innego świata. Maigret wziął papiery i ruszył w stronę drzwi — prosto na cofającą się przed nim Amelię.

— Proszę zawołać mera — powiedział do Marii ponurym głosem. — Będzie świadkiem. A pani — zwrócił się do Amelii — radziłbym raczej się położyć.

Maigret nie patrzył na nią. Słyszał tylko jak zaskrzypiały sprężyny łóżka. Wciąż siedział zwrócony plecami do starej, póki nie zjawił się mer, tutejszy chłop, który nie miał odwagi wejść i bojaźliwie stał w progu.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

Lewym okiem

POWIEDZMY SOBIE...

Objawem towarzyszącym nieodzownie biurokracji jest niewyobrażalna wręcz lawina zapisanego papieru, rosnąca w tempie huraganowym. To znany fakt.

Trochę mniej dostrzegany, równoległy objaw — to orkan gadulstwa. Podział pracy sprawia, że każda sprawa zahacza o wiele różnych ośrodków dyspozycyjnych. Żeby cokolwiek ruszyć z miejsca, żeby najprostszą sprawę objąć jakąś decyzją i oczywiście natychmiast stworzyć, odpowiedni dokument pisany — trzeba najpierw decyzję taką uzgodnić pomiędzy zainteresowanymi nią ośrodkami. Uzgodnienie — to konferencja. Konferencja — to mówienie, mówienie, mówienie...

Mówcami z konieczności muszą być ludzie, którzy nie są nimi z urodzenia. Przekazywanie bliźnim myśli — i to często myśli o sprawach niełatwych, skomplikowanych — wcale nie jest takie proste. Znam bardzo mądrych dyrektorów, świetnie zorientowanych, w swym rzemiośle, a których podwładni nigdy nie wiedzą, o co im chodzi. Są tacy, którzy w dwóch zdaniach referują kwestię, są inni, mówiący pięknie, płynnie, ozdobnie przez pół godziny, po czym słuchacze już po rozejściu się stwierdzają ze zdumieniem, że gość właściwie nic nie powiedział; są wreszcie i tacy, którzy męczą siebie i całe gremium, stękają, dukają, wracają w kółko po pięć razy do punktu wyjścia, zanim wreszcie wszystkim stanie się jasne, co z tego dukania ma wynikać.

Człowiek, zmuszony do zabrania głosu okolicznościami, czy choćby własną ambicją nie ustępowania innym, pomaga sobie w mówieniu, jak może. Gestykuluje, potrząsa papierkiem i pieczątką, zaciera ręce, pije wodę, a najczęściej wtłacza w zdania mnóstwo słów niepotrzebnych, słów-waty, pozwalających myślom na przerwy, na zbiegnięcie się, na namysł i wybór argumentu.

Nikt nie kolekcjonował jeszcze takich słów — przerywników, słów-tików nerwowych, słów-obsesji. Wynalazczość jest zresztą w tym zakresie minimalna. Pozostawmy na boku ogromną kategorię ludzi spod kiosków z piwem, których jedynym tikiem, przerywnikiem i ornamentem językowym jest wredne słówko na k. Cóż zostaje poza tym?

Nie spotyka się już ani radziwiłłowskiego „panie kochanku", ani — jak u Fredry — „mościu-panie", ani nawet częstego przed wojną „panie dobrodzieju". „Demokratyzacja i w tym zakresie czyni postępy: zostało najwyżej krótkie, proste „panie" — do „obywatela" jeszcześmy nie doszli. Znam pewnego wysoko postawionego urzędnika, u którego to słówko „panie" wciska się już nawet pomiędzy sylaby poszczególnych wyrazów; po pięciu minutach rozmowy z owym dygnitarzem nie słyszę już nic, tylko „panie, panie, panie...".

Znam wiele osób z przerywnikiem „powiedzmy sobie", wiele — „proszę pana" i „nieprawdaż", trochę mniej z „po prostu"; spotykam „powiedzmy", „załóżmy", „mówmy", „że tak powiem". Jeden bardziej pomysłowy prezes przyswoił sobie „proszę ja was". Prymitywniejszą formułką jest nader częste „tego", „ten", „nie?", a już zupełnym prymitywem — „eee", „yyyy" lub „mmmm". Koniec. Asortyment wyczerpany. Czasem tylko zdarzy się oryginał stosujący wszystkie przerywniki naraz. Takiego w ogóle słuchać nie można, nie ma w jego mowie nic oprócz szumu, artykułowanego mniej więcej tak:

„Mówiłem, po prostu, proszę pana, powiedzmy sobie, że ten, no... proszę pana związek tego, że tak powiem, yyyy... związek absolutnie proszę pana załóżmy nie zgadza się po prostu nieprawdaż no— powiedzmy — nie zgadza się i już...".

I już. Taki mówca siebie nie słyszy. Nie wiem czy słyszy to, co myśli. Samo tak z niego ciurka — mętny potok byle jakich słów, nie dających się już okiełznać.

Ostrzegamy, obywatele! Nie pozwalajcie sobie na doprowadzenie się do takiego stanu! Kupcie magnetofon, posłuchajcie własnego krasomówstwa. Inaczej nigdy niczego nie uzgodnimy.

CWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Maria Kornatowska, Andrzej Makowiecki, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 700. III. 1968. P-4.